



Cindi Myers
Idylla rodzinna



ROZDZIAŁ PIERWSZY

*„Milles Fleurs”
Sześć dni przed ślubem*

Lacey Jessup wysunęła z piekarnika blachę, pochyliła się nad złączonymi z sobą bagietkami i głęboko odetchnąwszy, powąchała je. Drożdżowy zapach świeżo upieczonych długich francuskich bułek sprawił jej przyjemność. Przypominał rodzinną kuchnię w Iowa, w której spędzała dużo czasu. Tutaj, w Paryżu, czuła tamtą domową atmosferę, ilekroć otwierała woreczek z mąką. To zabawne i miłe, że po drugiej stronie globu chleb ma prawie identyczny smak.

Obecnie, dzięki tygodniom intensywnych zajęć w klasie i w laboratoriach Le Cordon Bleu, a także w kuchni w „Milles Fleurs”, zajęździe, w którym pracowała, opanowała wreszcie sztukę

robienia idealnej w smaku i kształcie słynnej bułki francuskiej.

Przemieściła bagietki na stojak do studzenia pieczywa i z podziwem przyglądała się idealnie przyrumienionej skórce z czterema poprzecznymi nacięciami, zrobionymi w równych odstępach na wierzchu każdej bułki.

- Bardzo dobrze, moja droga. - Giselle Fortier, szefowa kuchni w „MillesFleurs”, zajrzała Lacey przez ramię i z aprobatą pokiwała głową. - Jeszcze trochę praktyki i nikt się nie domyśli, że bagietki wyszły spod palców Amerykanki.

Pochwała z jednym małym „ale” spieszyła Lacey.

- Uważasz, że jeszcze muszę się poduczyć?

- Tylko troszeczkę. Nie sądzisz, że bagietki są ciągle trochę za płaskie pośrodku? Idealna francuska bułka musi mieć tę samą grubość i długość i nie może mieć wybrzuszeń.

Lacey pokiwała głową. Teraz, kiedy Giselle zwróciła na to uwagę, dostrzegła, że jej bagietki rzeczywiście miejscami są nierówne.

- Następnym razem będą idealne - obiecała, przechodząc do stanowiska pracy na środku kuchni, żeby przygotowywać składniki do dzisiejszej *quiche lorraine*. Wypowiadając te słowa, słyszała niemal głos matki, ostrzegającej ją, że nic nigdy nie jest doskonałe - choćby bardzo tego chciała.

To prawda, że jako dziecko Lacey godzinami snuła najprzeróżniejsze fantazje, w których jej życie toczyło się w hollywoodzkiej scenerii: była idealnie piękną gwiazdą, mieszkała w idealnie pięknym i luksusowym domu, a idealnie przystojny mężczyzna wielbił ją i kochał do szaleństwa. Chociaż codzienność jakoś nie nadażała za jej fantazjami, nigdy nie straciła nadziei.

Kiedy postanowiła zostać mistrzem kucharskim, jej wybór padł na Le Cordon Bleu w cieszącej się sławą Academie D'art Culinaire, gwarantującą wysokie standardy i pięciogwiazdkową elegancję.

Obecnie mieszkała i uczyła się w Paryżu - romantycznym Mieście Światła. Ocierała się na co dzień o najbardziej wyrafinowaną modę i kulturę. W wolnych chwilach zwiedzała Luwr, przechadzała się alejkami wśród kwiatów w parku Tuileries i przesiadywała w ulicznych kafejkach, snując wizje o namiętnej przygodzie z szykownym Francuzem.

Jak dotąd taki Francuz nie pojawił się na horyzoncie. Chyba wszyscy uganiaли się tylko za pięknymi, eleganckimi Francuzkami. Jeśli chodzi o Amerykanów, Lacey sparzyła się już parokrotnie.

Wybrała nóż z drewnianej podstawki i sięgnęła po cebulę, ale zanim zaczęła ją siekać, drzwi kuchni otworzyły się z impetem.

- Czy mógłbym dostać coś do jedzenia?

- Wysoki Amerykanin z rozwianymi jasnobrązowymi włosami i lekko rumianą cerą wkroczył do środka. - Spędziłem cały dzień w samolocie, przeleciałem prawie pół świata, żeby znaleźć się tutaj, a kobieta w recepcji oświadczyła, że jadalnia jest zamknięta.

Lacey zrobiła wielkie oczy. Zdawało się, że przybysz wypełnił sobą całą kuchnię, jakby przeleciał świat samolotem, osobiście go pilotując, czasem robiąc uniki przed ostrzałem nieprzyjaciela, a może zatrzymując się po drodze w celu poskromienia lwa i innych bestii. Po prostu było go dużo, bardzo dużo, i wcale nie chodziło o to, by był jakimś niezwykłym olbrzymem.

- Pół kilometra stąd znajdzie pan kawiarnię, gdzie chętnie pana obsłużą - powiedziała Giselle oschłym tonem.

- Po takim dniu jeszcze mi tylko brakuje uganiać się za czymś do zjedzenia. - Zauważył stygnące bagietki i podszedł do nich. - Hm, pachną wspaniale. Mógłbym dostać taką jedną i kawałek sera?

Giselle potrząsnęła przecząco głową i wyszła z kuchni. Chociaż Lacey dopiero opanowywała język francuski, wydało jej się, że szefowa mruknęła coś w rodzaju „nieokrzesani Amerykanie”.

- O co jej chodzić - zapytał mężczyzna. Lacey mogła mu powiedzieć, że gdyby grzecznie poprosił o *petit repas*, gdyby był czarującym

i pochwalił kuchnię Giselle albo zachwycił się jej urodą - innymi słowy, gdyby zachował się bardziej jak Francuz - udałoby mu się naciągnąć szefową na omlet albo pożywną kanapkę. Ale co by to dało? Amerykanie to nie Francuzi. Uważają, że wszystko im się należy. Ten wcale nie jest wyjątkiem, a ona powinna wiedzieć, że taki jak on nie przyjmie odmowy.

- Mogę panu podać bułkę i ser. - Podeszła do drewnianej deski i sięgnęła po nóż. - Mamy też winogrona.

- Doskonale. Umieram z głodu. - Usiadł na jednym z wysokich taboretów przy kuchennym blacie i obserwował, kiedy kroїła ciepłą jeszcze bułkę i kładła kawałki na talerzu. Szerokie ramiona opadły mu ze zmęczenia, policzki i brodę pokrywał ciemny zarost, a jednocześnie biła od niego nerwowa energia, jakby szykował się do skoku ze stołka. Z gomółki sera przechowywanego pod szklanym kloszem odkroїła duży kawał sera i wyjęła z lodówki kiść winogron. Wzięła dzbanek wina z półki w spiżarni i po chwili wahania postawiła go na ladzie razem z talerzem.

- Napije się pan wina ? - zapytała.

- Byłoby wspaniale. - Urwał z kiści winogrono i wrzucił je sobie do ust. - Nie wiem dlaczego, ale od jakiegoś czasu nie można dostać przyzwoitego posiłku na pokładzie samolotu. Podobno na mojej trasie z Frankfurtu wyczerpały się

zapasy jedzenia, natomiast tektura, którą chcieli podać w charakterze sandwicza po starciu z Bejrutu, była niejadalna. - Odłamał kawał bagietki, położył na nim plaster sera i aż mlasnął, kiedy ugryzł pierwszy kęs.

Lacey ledwie powstrzymała się od śmiechu na widok tak teatralnie okazanej radości z powodu zwykłego chleba, sera i winogron. Zapomniała, jak ostentacyjnie potrafia się zachowywać amerykańscy faceci, nawet wobec obcych. Francuzi, których znała, zachowują się z większą rezerwą i są o wiele bardziej oficjalni.

- Przyjechał pan na wesele? - Cały zajazd został zarezerwowany przez rodziny Donovanów i Fellinich oraz ich licznych krewnych i przyjaciół. W ostatnim tygodniu zlatywali się z różnych stron świata. Wszystkie pokoje były zajęte, a nawet dawny pokój kredensowy przy salonie na piętrze przeznaczono dla gości, mimo że zmieściło się tam tylko wąskie łóżko i jedno krzesło.

- Tak, przyznaję to z przykrością. - Wyciągnął rękę. Po chwili wahania podała mu swoją. Jego uścisk był mocny, skóra na dłoni zgrubiała i ciepła. - Mark Kendrick - przedstawił się. - Pan młody jest moim kuzynem. Gdybym dopadł go wcześniej, może wybiłbym mu z głowy taką głupotę, ale przez ostatni rok z kawałkiem prawie nie było mnie w kraju.

- Nie cieszy się pan, że kuzyn się żeni? - Na

tyle, na ile zdążyła się zorientować, panna młoda i jej przyszły mąż byli miłymi ludźmi i z pewnością bardzo się kochali. Również ich rodziny sprawiały dobre wrażenie.

- Przyznaję, że nie rozumiem, dlaczego Gabe'owi tak spieszo do żeniaczki i ustatkowania się. - Mark wysączył łyk wina. - Był tak strasznie podniecony, kiedy rozmawiał ze mną przez telefon, że pewnie powinienem się cieszyć razem z nim. A tak przy okazji, to ta bułka jest naprawdę dobra. - Oderwał kolejny duży kawałek.

- Miło mi to słyszeć. - Wcale nie jest taki nieokrzesany. Właściwie jest nawet sympatyczny na swój szorstki sposób. - Co pan robił w Bejrucie? - Było to dla niej strasznie egzotyczne miejsce. Do przyjazdu do Paryża dwa miesiące temu nie wysunęła nigdy nosa poza Stany.

- Pracowałem. Nie chciałem się stamtąd ruszać, ale w końcu dałem się namówić i teraz będę fotografował wesele kuzyna. - Potrząsnął głową. - Wykręcałem się, jak mogłem. Powiedziałem mu, że wesela nie są moją specjalnością, ale niestety większość ludzi nie widzi różnicy między taką czy inną fotografią. Zarabiam kamerą, więc wyobrażają sobie, że strzelanie fotek w tak ważny dla nich dzień musi być dla mnie pasjonującym zajęciem.

- Jest pan fotografem?

- Fotoreporterem. To pewna różnica. Doku-

mentuję działania na terenach objętych wojnami i donoszę o tragediach, do których dochodzi na świecie. Nie interesują mnie rozanieleni państwo młodzi i szczerzący zęby w uśmiechu druźbowie i druhny.

Roześmiała się na widok jego zde gustowanej miny.

- Wygląda na to, że to będzie dla pana przyjemna odmiana. Cała ta wojna i te wszystkie ludzkie dramaty muszą strasznie człowieka dołować. A czy może być coś bardziej romantycznego niż wesele w Paryżu ?

- Romantyka! Też mi coś! Wolałbym umykać przed ostrzałem w Strefie Gazy niż towarzyszyć chodzącym w chmurach zakochanym parkom - szydził.

Twarde słowa, ale Lacey nie do końca wierzyła w ich szczerość. Mark Kendrick przybrał postawę zgorzkniałego cynika, tak jak aktor wciela się w rolę na scenie. Ale jego mocny uścisk dłoni, kiedy się witali, i sposób, w jaki delektował się prostym posiłkiem, wszystko to dowodziło, że pod powłoką niezadowolenia i gderliwości kryje się coś więcej.

- Zakochani mogą być trochę niestrawni dla samotnego człowieka - stwierdziła.

Przyszpilił ją wzrokiem. Choć trwało to tylko ułamek sekundy, dostrzegła ból w jego oczach, który natychmiast pokrył cynicznym parsknie-

ciem, ale to wystarczyło, żeby upewniła się w swojej diagnozie.

- Można by długo mówić o przebywaniu tylko we własnym towarzystwie - skwitował jej uwagę, po czym odsunął pusty talerz i wstał.

- Dziękuję za jedzenie. Dzięki pani nie zamęczylem na śmierć jakiejś Bogu ducha winnej kelnerki moją beznadziejną francuszczyzną.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, Lacey zabrała pusty talerz i kieliszek i wstawiła je do zlewu. Ze wszystkich ludzi, którzy przybyli dotąd na wesele, Mark Kendrick był zdecydowanie najbardziej interesującą postacią. Niewątpliwie najbardziej obyty w świecie i cyniczny, a może nawet najbardziej nieokrzesany i obcesowy z gości. Ale nie miała mu tego za złe. Podobnie jak ona, był nieobeznany w sytuacji, jakże przecież odległej od jego codziennego życia. Była mu wdzięczna, że pozwolił jej zajrzeć w głąb siebie i dostrzec niepokój kryjący się pod maską aroganta. I że tak jak ona czuje się nie na miejscu w pełnym zgiełku i przepychu Paryżu. Świadomość, że ktoś, kto się kulom nie kłania i nie ucieka przed dramatami Trzeciego Świata, może być wytracony z równowagi czymś tak cudownym i przyjmowanym z radością jak wesele, była bardzo pocieszająca.

Po zaspokojeniu głodu Mark poczuł się bardziej sobą. Dobrze, że młodsza z kobiet pełniących

wartę w kuchni nie okazała się taka drażliwa jak jej współpracownica. Zdziwił go widok Amerykanki w tradycyjnym białym fartuszk i w kucharskiej czapce, ale był zbyt skupiony na wymienitej bułce i serze, które mu zaserwowała, żeby wypytywać, skąd pochodzi. Teraz żałował, że nie dowiedział się, jak ma na imię.

Nie wątpił, że tkwiąc tu przez tydzień, jeszcze ją zobaczy. A jeśli nie, to też nic się nie stanie. Chciał tylko odwalić obowiązek rodzinny i wrócić do swojej pracy.

Pochłonięty myślami, skręcił za róg korytarza i omal nie zderzył się z niewysokim mężczyzną.

- Mark! Nareszcie jesteście. Zaczynałem się niepokoić!

- Opóźnili wylot z Frankfurtu. - Uśmiechnął się do starszego pana z misternym wąsikami.

- Cieszę się, że znów cię widzę, wuju Franku.

- Ja też się cieszę. - Uścisnęli się, przy czym Frank Fellini objął mocno siostrzeńca, poruszając go tym serdecznym gestem. Frank był dla Marka jak ojciec, wychowywał go od czasu, gdy jego biologiczny ojciec się ulotnił. - Dopiero przyjechałeś? Zameldowałeś się

- Tak. Ale podejrzewam, że pokój, który dostałem, służył poprzednio za schowek na miotły.

Frank roześmiał się.

- Niewykluczone. Przybyliśmy tu tak licznie, że większość młodych gnieździ się w kilkoro

w jednym pokoju. Mam nadzieję, że nie cierpisz na klaustrofobię?

- Zdarzało mi się mieszkać w gorszych warunkach. - W Iraku nocował na klepisku w barakach, a w Afganistanie sypiał w jaskiniach. Przy najmniej tutaj miał szczęście, bo nie musiał z nikim dzielić pokoju - pewnie dlatego, że w pakamerze nie było miejsca na dwa łóżka.

Frank cofnął się o krok.

- Niech ci się przyjrzę. - Obejrzał Marka od stóp do głów. - Wyglądasz na wycieńczonego. I jesteś za chudy. Nie dbasz o siebie.

- W Bejrucie jedzenie nie zawsze bywa najlepsze, no i miałem męczącą podróż. - Uśmiechnął się znowu, bardziej poruszony niż zły utyskiwaniem wuja. - Jedna noc porządnego snu i będę w formie.

- Dobrze, że przyjechałeś. Przyda ci się parę dni relaksu przed uroczystością. Trochę się dożywisz, skosztujesz dobrego wina, powiedziasz miasto. - Uśmiechnął się od ucha do ucha. - Odrobisz zaległości rodzinne. Jednym słowem, czekają cię prawdziwe wakacje.

Mark pokiwał głową. Już zapomniał, kiedy miał prawdziwy urlop, ale nie narzekał i było mu z tym dobrze. Nie lubił beczynności ani podróžowania w charakterze turysty.

- Jak tam Gabe? - zapytał. Pan młody był synem Franka.

Frank uśmiechnął się jeszcze szerzej, wprawiając w drżenie koniuszki misternie ułożonych wąsów, które - Mark był tego prawie pewny - pokrywała duża ilość czarnej farby.

- Jest zakochany i bardzo szczęśliwy, a Alexis, jego narzeczona, to naprawdę wspaniała dziewczyna. Poznasz ją jutro. Oboje są zachwyceni, że sfotografujesz ich ślub. Zdjęcia zrobione przez członka rodziny będą na pewno drogocenną pamiątką.

Miał w tej sprawie raczej mieszane uczucia. Na pewno jego obecność na ślubie była ważna dla wuja Franka i to on poprosił, żeby zgodził się wystąpić w roli fotografa, a wujowi nigdy by nie odmówił.

- Zrobię, co potrafię. Jak wiesz, nie jest to moja specjalność.

- Jestem więcej niż pewny, że zrobisz fantastyczne zdjęcia. Chciałbym, żeby twoja matka mogła być z nami.

- Pozdrowia wszystkich i bardzo chciała tu przylecieć, niestety podjęła nową pracę i nie mogła wziąć urlopu. - Matka Marka, siostra Franka, właśnie zaczęła uczyć w nowej szkole.

- Cieszę się, że zdobyła dobry etat, ale będzie mi jej brakować. A jeśli chodzi o kobiety twojego życia ... - Frank uniósł brew. - Jesteś z Nancy? Miałem nadzieję, że zaczniesz się z nią znowu spotykać.

Mark wzdrygnął się mimowolnie na pytanie, którego powinien być się spodziewać.

- Rozstaliśmy się parę miesięcy temu. - Spakowała swoje rzeczy i wyprowadziła się z ich nowojorskiego mieszkania, kiedy wykonywał zlecenie w Korei. Od pewnego czasu oddalali się od siebie, więc nawet nie był zdziwiony, kiedy zadzwoniła i oświadczyła, że odchodzi.

Frank posmutniał.

- To przykre. Uważam, że Nancy była bardzo miłą osobką.

- Była. - Wzruszył ramionami. - Trudno o prawdziwe życie prywatne, kiedy jest się w ciągłych rozjazdach. - Albo kiedy jest się facetem, do którego kobiety najpierw lgną, a potem szybko znikają. Każda, z którą się spotykał, w końcu znajdowała jakiś powód, żeby się z nim rozstać. Doszedł do wniosku, że związki na dłuższą metę nie są mu sądzone.

Frank jeszcze bardziej posmutniał.

- Wiem, jak bardzo kochasz swój zawód, ale w życiu są sprawy ważniejsze od pracy. Na dłuższą metę ludzie - i twoje relacje z nimi - znaczą o wiele więcej niż wszystkie nagrody i odznaczenia, które można sobie powiesić na ścianie.

Zabolały go słowa krytyki pod adresem jego stylu życia. Czy rzeczywiście wuj ma go za kogoś tak płytkiego i powierzchownego ?

- Moja satysfakcja z pracy znacznie wykracza poza nagrody i odznaczenia - usprawiedliwił się.
- Mam nadzieję, że tym, co robię, w jakiś sposób uświadamiam i przybliżam ludziom, co dzieje się na świecie. A jeśli następnie angażują się w niesienie pomocy, często ich życie się wzbogaca.

- Tak, tak, zdaję sobie sprawę z tego wszystkiego. Ale poza zleceniami co robisz, żeby wzbogacić własne życie? - Poklepał siostrzeńca po ramieniu. - Nie gniewaj się, że się wtrącam, ale pragnąłbym, żebyś był tak szczęśliwy jak Gabe.

- Jestem szczęśliwy. - A przynajmniej zadowolony, dodał w myślach Mark. - Nie musisz się o mnie martwić.

- Masz rację. W tym tygodniu będziemy świętować, a nie martwić się. Jak to dobrze, że jesteś z nami. A teraz idź i wyśpij się.

Racja. Potrzebował dobrego, krzepiącego snu. Potem stawi czoło tygodniowi, w którym dominować będą sentymentalno-romantyczne uniesienia i weselna histeria. Odłóżmy walki partyzanckie na nieco później!

ROZDZIAŁ DRUGI

- Co się stało z tym nieokrzesanym Amerykaninem po moim wyjściu z kuchni?

Lacey właśnie włożyła czepek kucharski, kiedy Giselle zastrzeliła ją tym pytaniem. Oczy Francuzki błyszczały z ciekawości, gdy na chwilę podniosła głowę znad naczynia, w którym miesiła ciasto na poranne croissanty.

Lacey wyjęła z lodówki koszyk z jajkami i nastawiła pół tuzina do gotowania. Reszta pójdzie na omlet. Chociaż Francuzi - w przeciwieństwie do amerykańskich gości - rzadko jedzą na śniadanie coś więcej niż croissanty i kawę, zajazd serwował pełne śniadanie.

- Dałam mu bułkę i trochę sera. Wcale nie jest taki nieokrzesany, był tylko głodny i zmęczony.

- Ba! Czyli typowy mężczyzna. - Giselle

oderwała kawałek ciasta i utoczyła z niego wałeczek. - Ale jaki przystojny, prawda?

- Tak, jest przystojny. - Na wspomnienie mocnego uścisku i ciepłej ręki Marka Kendricka Lacey przeszedł miły dreszczyk. Oczywiście nic to nie znaczyło, ale od miesiący nie przebywała tak blisko mężczyzny. - Na wesele przyjechało wielu przystojniaków. - Gabe Fellini, czyli pan młody, a zarazem kuzyn Marka, oraz Josh McClintock, jego drużba, wyglądali wspaniale, choć brakowało im wyrazistości Marka.

- Ty to rzeczywiście masz szczęście - powiedziała Giselle. - Pracujesz w domu pełnym przystojnych, wolnych mężczyzn, w romantycznej atmosferze zbliżającego się wesela. Chyba, że... - spojrzała z ukosa na Lacey - ...jesteś już zakochana.

- Nie, skądże.

- I żaden mężczyzna nie czeka na ciebie w Ameryce ?

- Nie. Nikt na mnie nie czeka. - Jak dotąd daleko jej było do *femme fatale*. Przywykła do tego, że buja się w najbardziej nieodpowiednich dla siebie mężczyznach. Krótco przed przyjazdem do Paryża zadurzyła się we właścicielu restauracji, w której pracowała. Matka od razu ją ostrzegła, że nie pasują do siebie i że nic z tego nie wyjdzie, ale gdy Lacey zakochiwała się, nie trafiały do niej żadne logiczne argumenty. No i okazało

się, że kolejny raz matka miała rację. Raul rzucił ją dla kobiety, którą poznał w country clubie.

Kiedy dostała się do Le Cordon Bleu, marzyła o poznaniu szalowego Francuza, dla którego straci głowę, ale okazało się, że żaden nie zwraca na nią uwagi. Jakby była niewidoczna.

- Może poderwiesz kogoś podczas weselnego przyjęcia - zapaliła się Giselle. Położyła ostatniego croissanta na blasze i pędzelkiem zaczęła smarować rogaliki roztrzepanym jajkiem.

Lacey roześmiała się.

- Wątpię. Komuś takiemu jak ja trudno konkurować z szykownymi Francuzkami. - Dotychczas jedynie Gaston, korpulentny, nie najmłodszy już rzeźnik, zwrócił na nią uwagę. Flirtował z nią, ilekroć zachodziła po zamówioną połówkę na befsztyki albo po kotleciki jagnięce. A ponieważ był żonaty i miał pięcioro dzieci, trudno było traktować jego zaloty poważnie.

- Jeżeli nie możesz konkurować, nie próbuj - powiedziała Giselle, wsuwając blachę z croissantami do pieca. - Twój osobisty wdzięk może okazać się twoim atutem. Poza tym większość przybyłych na wesele mężczyzn to Amerykanie. Niewykluczone, że będą woleli amerykańską kobietę.

Lacey pomyślała znowu o Marku i zastanowiła się, w jakich kobietach może gustować. Odnosił się lekceważąco do decyzji kuzyna o małżeństwie,

ale czy mężczyźni nie lubią sobie pożartować na ten temat

Nie miała czasu rozwozić się nad tym, ponieważ jadalnia zaczęła wypełniać się gośćmi. Lacey przygotowywała omlety, Giselle piekła croissanty, kiedy do kuchni wkroczyła nieskazitelnie ubrana siwa pani pachnąca L'Air Du Temps.

- Witam was, moje kochane - powitała je od progu.

- Dzień dobry, madame Beaulieu - odparły. Celeste Beaulieu była spokrewniona z rodziną panny młodej i to ona postarała się, żeby wszyscy mogli się zatrzymać w „Milles Fleurs”.

- Może kawy, madame? - zapytała Lacey.

- Giselle zaparzyła świeżą.

- Nie, nie, nie zwracajcie sobie mną głowy. Zatrzymałam się tylko po to, żeby się dowiedzieć, czy nie potrzebujecie kogoś do pomocy na dzisiejszą powitalną kolację.

- O wszystko zadbałyśmy - zapewniła Giselle. - Pani ma się tylko cieszyć gośćmi i delektować dobrym jedzeniem.

- Mistrz cukierniczy przylatuje w piątek i wyczaruje weselny tort. Czy jesteście przygotowane, żeby mu asystować ?

- *Oui, madame.* Cała przyjemność po mojej stronie. - Uśmiech Giselle zastąpił po tych słowach. Lacey wiedziała, że szefowa nie jest zachwycona perspektywą kręcenia się po jej kuchni

innego mistrza, ale rodzinie zależało na monsieur Gautier, więc musiała ustąpić.

- To świetnie. - Celeste Beaulieu z radości klasnęła w dłonie. - Madame Ortolon powiada, że zajazd jest pełny. Wszyscy przyjechali. Przed nami piękny tydzień i piękne wesele.

- Każde wesele jest piękne - filozoficznie ujęła sprawę Giselle, powracając do swoich crois-santów.

- Ale wesele w Paryżu jest najpiękniejsze ze wszystkich, jak sądzę. - Madame uśmiechnęła się do Lacey.

Ona zaś pokiwała głową i zajęła się omletami. Radosny nastrój przygotowań do wesela zmałił cień melancholii. Tak jak powiedziała Markowi, przebywanie wśród zakochanych uzmysławia człowiekowi jego własną samotność.

Pomimo wyczerpania Mark spędził bezsenłą noc. Prześladowały go słowa wuja Franka, uwierały jak kamyk pod materacem.

W życiu są sprawy ważniejsze od pracy. Ludzie i twoje relacje z nimi...

To nie znaczy, że nie ma dobrych znajomych. Pozostaje w poprawnych stosunkach z innymi fotoreporterami i ludźmi pióra, z którymi często podróżuje.

Rzadko na dłuższą metę obywatel się bez kobiety. Po prostu nie widział jeszcze potrzeby

ustatkowania się. Nie potrzebował tej specyficznej bliskości i romantyzmu, których pragnie większość kobiet.

Musi jednak przyznać, że w ostatnim okresie jego życie głównie kręciło się wokół pracy. Może rzeczywiście powinien znaleźć jakiś złoty środek. Na początek mógłby skorzystać z rad wuja i przez tydzień spróbować się trochę zrelaksować.

W końcu zapadł w głęboki sen i obudził się późno. W obawie, że przegapi śniadanie, ubrał się w pośpiechu, narzekając trochę na ciasnotę pokoiku, po czym zbiegł po schodach.

Pierwszą osobą, na którą się natknął, była amerykańska kuchareczka. Wychodziła z kuchni z dużą srebrną tacą gorących jeszcze croissantów. Przytrzymał jej drzwi.

- Dzień dobry - przywitała go po angielsku.
- Dzisiaj wygląda pan znacznie lepiej, panie Kendrick. Dobrze pan spał?

- W końcu jakoś zasnąłem. - Wszedł za nią do jadalni i doszedł do uginającego się od potraw szwedzkiego stołu, na którym kuchareczka postawiła tacę. - Cieszę się, że na panią wpadłem.

- Naprawdę ?

Pod spadającymi na twarz ciemnymi włosami dojrzał mocno zaróżowione policzki. Czy zaczerwieniła się w gorącej kuchni? Czy z powodu czegoś, co powiedział albo zrobił? Był zaintrygowany.

- Nawet nie wiem, jak się pani nazywa.

- Lacey. Lacey Jessup.

Zawróciła w stronę kuchni, a on ponownie przytrzymał jej drzwi.

- Jest pani Amerykanką?

- Tak. Pochodzę z Iowa. W Paryżu uczęszczałam do Le Cordon Bleu.

- Chciałem przeprosić za wczorajszą opryskliwość. Na usprawiedliwienie mam tylko to, że naprawdę byłem skonany.

- Nie ma sprawy. Nie było aż tak źle.

Miała olśniewający uśmiech. Zaparło mu dech.

Żadna wyjątkowa piękność. Była jednak śliczna w naturalny sposób. Ale najbardziej pociągało go wrażenie, że cała jej uwaga skoncentrowana jest na nim, jakby w pokoju nie było nikogo innego.

- To idealne miejsce na relaks - powiedziała.

- Czyżby? - Zatłoczony zajazd z mnóstwem krewnych, aktualnych i przyszłych, nie wydawał się idealnym miejscem na odpoczynek.

- Oczywiście! Paryż jest najpiękniejszym miastem na świecie. Wesele odbędzie się dopiero za pięć dni, więc ma pan masę czasu na zwiedzanie. Chyba że... - zerknęła na niego kątem oka - ...widział je pan tyle razy, że już pana nie bawi.

- Jedyne miejsca w Paryżu, które naprawdę znam, to lotniska. - Przesiadał się na nich wiele razy w drodze do innych części świata, ale nigdy nie wysunął nosa poza terminal. Tym razem też

nie zamierzał... chyba że w towarzystwie ładnej kobiety... - Może pokaże mi pani miasto, o ile znajdzie pani trochę czasu.

Zdziwiona utkwiała w nim wzrok, a on zwy-myślał się w duchu za swoją impulsywność. Prawdopodobnie dziewczyna ma jakiegoś barczy-stego francuskiego adoratora, który marzyłby, by dołożyć pięścią niewydarzonemu Amerykanino-wi. A może jest jeszcze tak zniechęcona wczoraj-szą gburowatością, że nie spędzi z nim ani jednej chwili. Postanowił wycofać się taktownie.

- Oczywiście, jeśli jest pani zajęta...

- Nie. - Rysy jej twarzy zmiękły i po chwili znowu posłała mu uśmiech, którym omal nie powaliła go z nóg. - Dzisiaj mam zajęcia w szkole, a potem muszę pomóc w przygotowaniu powita-lnej kolacji. Ale jutro po śniadaniu będę wolna przez cały dzień. Z przyjemnością pokażę panu miasto.

- Okej. Świetnie. - Cofnął się o krok, wściekły na swe skrępowanie, od którego plątał mu się język. - To do zobaczenia jutro po śniadaniu.

Zawinął się na pięcie i szybko odszedł, żeby nie zrobić z siebie większego idioty.

Oczywiście w zajeździe pełnym weselnych gości nie było mowy o czymś takim jak samo-tność. Właśnie nakładał jedzenie na talerz, kiedy do jadalni w towarzystwie matki, noszącej imię Audrey, wkroczyła Gina, siostra Gabe'a.

- Nie mogę wprost uwierzyć, że nie zapakowałaś pantofelków. - Głos Audrey wybijał się ponad szum rozmów w jadalni.

- Mamo! To są tylko buty! - zawołała Gina, sięgając po dzbanek z kawą. - Wyjdę i po prostu kupię sobie nowe. - Uśmiechnęła się od ucha do ucha. - A nawet trzy pary. W końcu to przecież Paryż!

- Ale tamte zostały specjalnie przefarbowane pod kolor sukni. - Audrey naląła sobie filiżankę kawy. Wyglądała na zapędzoną osobę, która ma na głowie mnóstwo spraw i mało czasu na zajmowanie się pantoflami córki.

- Wcale nie muszą pasować - stwierdziła Gina. - Chciałam przez to powiedzieć, że nikt nie będzie patrzył na moje pantofle.

- Jeżeli nie będą pasowały, to już na pewno wszyscy będą na nie patrzeć - oznajmiła autorytatywnie Audrey.

Giną wzruszyła ramionami.

- No i co z tego?

Kiedy panie oddaliły się poza zasięg słuchu, Mark skrzywił się pogardliwie. Tego się spodziewał - pięć dni rwetesu i rozmów na tak banalne tematy jak kolor butów, długość sukienki i rozmieszczenie gości przy stole. Wystarczy, żeby zamarzyć o pustelniczym życiu.

Jak na razie usiądzie i zje w spokoju śniadanie. Rozglądał się za jakimś miejscem, kiedy został

zagadnięty przez Gabe'a, który pociągnął go za łokieć do stolika w rogu.

- Mark, chcę, żebyś poznał moją przyszłą żonę, Alexis Donovan. Alex, to mój kuzyn, Mark Kendrick.

Na dźwięk słów „przyszła żona” Alexis, olśniewająca blondynka, spojrzała na Gabe'a z taką czułością, że Mark gotów był uciec gdzie pieprz rośnie. Oczywiście nie zrobił tego, bowiem Gabe trzymał go nadal za ramię.

- Miło cię poznać, Alexis - powiedział z promiennym jak na niego uśmiechem. - Nie wiem, jakim cudem temu brzydalowi udało się umówić z tak piękną kobietą choćby na dwie randki, nie mówiąc już o małżeństwie.

Gabe wzmocnił uścisk i Mark tylko siłą woli opanował grymas. Nie ulega wątpliwości, że jego kuzyn chodzi na siłownię.

- Jak widać, z całej rodziny odziedziczyłem najwięcej uroku - przekomarzał się Gabe. - Mark za długo przebywa z dala od cywilizacji, zadaje się z terrorystami i innymi podejrzanymi typkami.

Posłał Gabe'owi spojrzenie, które nie pozostawiało cienia wątpliwości, że policzy się później z kuzynem, następnie uśmiechnął się niewinnie do Alexis, którą ostatnie zdanie rzucone przez narzeczonego wprawilo w lekkie zaniepokojenie.

- Jestem fotoreporterem - powiedział. - Foto-

grafuję niegrzecznych chłopców, ale nie zadaję się z nimi.

- To brzmi fascynująco - oznajmiła Alexis.

- Może zjesz z nami śniadanie?- Chciałabym się dowiedzieć czegoś więcej o twojej pracy.

- Teraz nie możemy, kochanie. - Gabe pomógł Alexis wstać z krzesła. - Obiecaliśmy mojej mamie, że zabierzemy ją na zakupy.

Nie ulegało wątpliwości, że Gabe zapamiętał czasy, kiedy dziewczyny opuszczały go dla Marka. To nie znaczy, że próbował mu je ukraść, ale wołały tajemniczego milczka od uroczego podrywacza. Mark szybko doszedł do wniosku, że był dla nich wyzwaniem, chociaż na ogół, kiedy się przekonywały, że nie są w stanie go zmienić, kończyło się na rozczarowaniu i nieuchronnym *adios*. Na pewno łatwiej jest kochać układnych i miłych mężczyzn, na przykład takich jak Gabe.

Gabe i Alexis pożegnali się, a Mark zajął opuszczony przez nich stolik.

Lacey weszła znowu do jadalni, tym razem z dzbankiem świeżej kawy. Obchodząc stoliki i ponownie napełniając filiżanki, dotarła wreszcie do Marka.

- Giselle mówi, że jej kawa jest niezawodnym lekarstwem na dolegliwości związane ze zmianą czasu.

- Giselle... to ta Francuzka z kuchnio Ta, której się nie spodobałem?

Miał wrażenie, że Lacey powstrzymuje się, by nie parsknąć śmiechem.

- Tak, ale jej nie podoba się bardzo wielu mężczyzn, więc nie brałabym sobie tego tak bardzo do serca.

- Rzadko kiedy biorę sobie coś do serca. - Wypił łyżeczek kawy. - Rzeczywiście robi dobrą kawę.

- Zaraz jej to powtórzę

- Czy dzięki temu zyskam w jej oczach?

- Niewykluczone. Może nawet podsunie ci największą porcję deseru na kolację.

- Uważasz, że jestem wielbicielem słodyczy?

- Nie śmiałabym nawet spekulować na temat czyjegoś apetytu i gustu, monsieur. - Z kokieteryjnym uśmiechem odwróciła się i odeszła wołanym krokiem.

Wystarczyła krótka wymiana zdań, a już poprawił mu się humor. Wprawdzie Lacey wyglądała na zbyt rozsądną dziewczynę, żeby grać rolę uwodzicielki, ale spodobało mu się jej poczucie humoru. Nie pamiętał, kiedy ostatnio jakaś kobieta go rozśmieszyła. Już prawie nie żałował, że zaprosił ją na wspólne zwiedzanie miasta. Może właśnie dzięki Lacey przetrwa to wesele bez uszczerbku na zdrowiu psychicznym.

ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz rano Lacey uwijała się podczas szykowania śniadania, mając jednocześnie zaprzątnięte myśli czekającym ją dniem. Chociaż zwiedzała już Paryż na własną rękę, to jednak samotne przechadzanie się ulicami nie było tym samym, co podziwianie widoków z drugą osobą. Paryż to miasto stworzone dla par. Wystarczy wspomnieć Audrey Hepburn i Cary'ego Granta, Leslie Caron i Maurice'a Chevaliera, Juliette Binoche i Johny'ego Deppa.

Oczywiście Mark nie jest jej ukochanym, a nawet prawie go nie zna. Ale jest przystojnym młodym człowiekiem i to zupełnie wystarczy, żeby wspólnie odkrywać uroki miasta...

- Coś za bardzo dziś bujasz w obłokach, moja droga - zrugła ją Giselle, wyjmując z rąk Lacey koszyk z cebulą i wkładając na jego miejsce

koszyk z pomarańczami do zaniesienia na stół w jadalni. - Co cię tak rozprasza?

- Och... nic - skłamała i pomknęła w kierunku drzwi jadalni.

- Wiem, co to takiego! - zawołała Giselle.

- Czy to przypadkiem nie jeden z tych przystojnych Amerykanowi

Lacey przystanęła i popatrzyła ze zdziwieniem na szefową.

- Dlaczego tak mówisz?

Giselle uśmiechnęła się jak lisek chytrusek.

- Bo kiedy młoda dziewczyna buja w obłokach, to za tym musi stać jakiś mężczyzna.

- Machnęła drewnianą łyżką jak czarodziejską różdżką. - Że nie wspomnę, iż pod tunikę włożyłaś swoją najlepszą spódniczkę. Jestem przekonana, że nie zrobiłaś tego dla mnie.

Lacey opuściła głowę i spojrzała na prostą czarną spódniczkę, która ledwie wystawała spod białej tuniki. Po zdjęciu tuniki i zmianie butów roboczych na płaskie baleriny ozdobione wstążeczkami będzie ubrana jak prawdziwa paryżanka, skromnie, ale gustownie, a wycięty w łódkę czerwony sweterek wyeksponuje szyję i dekolt, a za to - miała nadzieję - odwróci uwagę od lekko zaokrąglonego brzuszka. Ale jak tu nie utyć, pracując na okrągło w kuchni.

- Jesteś bardzo spostrzegawcza, Giselle - powiedziała.

- Tak, jestem. A teraz zjeżdżaj. - Ponownie machnęła drewnianą łyżką. - Im szybciej się uwiniesz ze śniadaniem, tym prędzej udasz się na swoje spotkanie.

Spotkanie. To słowo przywoływało obrazy namiętych pocałunków na Pont-Neuf albo przeciągłych spojrzeń w zatłoczonym bistro.

Rzeczywistość okazała się bardziej prozaiczna. O wpół do dziesiątej Mark stawiał się pod jadalnią. Miał na sobie jasnobrązowe spodnie, koszulę zapinaną od góry do dołu i sweter z wielbłądziej wełny. Ale nawet w najbardziej tradycyjnym ubraniu wyglądał jak mężczyzna, który spędza większość czasu w terenie. Na ramieniu miał przewieszoną torbę ze sprzętem fotograficznym.

- Pewnie nigdzie się nie ruszasz bez kamery
- powiedziała, kiedy przytrzymał jej drzwi.
- Stary nawyk. Masz coś przeciwko temu?
- Nie. Uważam fotografię za bardzo interesującą formę wyrazu. Dokąd chciałbyś pójść?

- A co proponujesz?

- To zależy. - Obmyślała program przez cały wczorajszy dzień. - Podobno najlepszym sposobem na poznanie miasta jest przejażdżka Sekwaną turystyczną łodzią, tak zwaną Bateau Mouche. Przepływa obok wszystkich najświetniejszych budowli.

Potrząsnął głową.

- Tylko nie to.

Nie dała po sobie poznać rozczarowania. Po cichu marzyła o rejsie po Sekwanie. Stałaby oparta o balustradę i podziwiała widoki, ale to była kolejna rzecz, której nie chciałaby robić sama. Więc skoro nie jest tym zainteresowany...

- Jeżeli lubisz architekturę, możemy zwiedzić sławne katedry. Notre Dame, Sacre Coeur.

- Tylko nie architektura. Ani też wieża Eiffla. Za dużo tam turystów.

Rozśmieszył ją jego snobizm.

- Przecież cała zabawa polega na tym, żeby bawić się w turystów - zwróciła uwagę. - Obawiam się, że nie zaspokoimy twojej fotoreporterskiej ciekawości żadnymi wojnami ani makabrycznymi scenami.

Zmarszczył brwi. Pomyślała, że się obraził, ale szybko się rozchmurzył.

- Przepraszam. Chodzi tylko o to... że wolałbym nie stać w długiej kolejce i oglądać widoków, które ogląda każdy, kto przyjeżdża do Paryża. Tego wszystkiego mogę się dowiedzieć z przewodników.

- To co chciałbyś zobaczyć ? - zapytała niepewnym głosem.

Wziął ją za ramię i poprowadził w stronę stacji metra.

- Pokaż mi swoją ulubioną część miasta.

W ten sposób wkrótce wylądowali w Parc de la Villette.

- Co to jest? - zapytał, kiedy znaleźli się na końcu długiej alei, której drzewa odbijały się w nieskończoność w gigantycznych lustrach rozmieszczonych między nimi, wmontowanych w betonowe słupy.

- To Ogród Luster - wyjaśniła, idąc przodem aleją.

- Przypomina mi beczkę śmiechu, tyle że ustawioną w plenerze - zauważył, oglądając wykrzywione odbicia ich i innych zwiedzających.

- No właśnie - zaśmiała się. - Teraz już znasz moją tajemnicę.

- Że lubisz lustra? - Popatrzył na nią sceptycznym okiem.

- Że pociągają mnie fantazja i absurd.

- Z Ogródu Luster przeszli przez plac zabaw wśród obracających się skrzydeł wiatraków, turkoczających żagli na wietrze i podrygujących trampolin. - To Ogród Wydm - wyjaśniła.

- Można by snuć różne domysły o kimś, kto lubi nietuzinkowe rzeczy - zauważył Mark, kiedy przyglądali się dzieciom skaczącym na nadmuchiwanym falach. - Cała twoja rodzina jest taka jak ty?

Znowu się zaśmiała.

- Nie. Wszyscy są bardzo solidnymi, osadzo-nymi w realiach obywatelami. Z moich krewnych tylko ja jestem marzycielką.

Pokiwał głową.

- I dlatego przyjechałaś do Paryża.

Spojrzała na niego, a ich oczy się spotkały. Jego wzrok tak ją zahipnotyzował, że przez chwilę nie wiedziała, co powiedzieć.

- Przyjechałaś do Paryża - przypomniał ostatnie słowa.

- Ach tak. - Odwróciła wzrok, żeby ochłonać.

- A nie uważasz, że to dobre miejsce na snucie marzeń?

- W każdym razie taką ciesz się sławą. - Wziął ją pod ramię i ruszyli w dalszą drogę, aż doszli do ogrodu tarasowego, ocienionego bujną winoroślą wijącą się na trejażach. Dziesiątki ukrytych źródełek i fontann szemrało dźwięcznie wśród krzewów dzikiego wina, a zapach nagrzanego słońcem zieleni niósł się w powietrzu. - Jak się nazywa ten ogród"?

- Ogród Trejaży. - Pochyliła się ku niemu, radując się jego bliskością. - A jak jest z tobą? Czy w twojej rodzinie pełno jest takich artystycznych dusz jak ty?

- Nie. Moja matka jest nauczycielką, a ja jestem jedynakiem. - Przystanął przy niedużej fontannie. - Nie miałem pojęcia, że w Paryżu jest aż tyle fontann i ogrodów.

- A twój ojciec? - zapytała.

Poczuła, jak jego ramię sztywnieje.

- Co mój ojciec?

Czuła, że weszła na śliski grunt, ale ciekawość zwyciężyła.

- Czym się zajmuje?
 - Ma coś wspólnego z handlem. Nie śledzę go.
- Rodzice rozwiedli się, kiedy miałem dziesięć lat.
- Odszedł na bok, zdystansował się od niej fizycznie, a jego oschły głos i napięty wyraz twarzy oznaczały również koniec ich emocjonalnego zbliżenia.
 - To musiała być ciężka próba - odezwała się łagodnym tonem, stając za nim pod trejażem.
 - Taak, ale jakoś to przeżyłem. - Przeszedł na otwartą przestrzeń pełną ławeczek, kwiatów i rzeźb kinetycznych.
 - Ogród Ruchu. - Wskazała głową jedną z rzeźb poruszaną łagodnym wiatrem.
 - Jak znalazłeś to miejsce ?
 - Zgubiłam się któregoś dnia, kiedy szukałam sklepu z konfekcją, który ktoś mi polecił, i wylądowałam tutaj.
 - Ciekawe miejsce. To lepsze od zwiedzania jakiejś katedry czy wieży Eiffla.
 - Tamte też są bardzo ciekawe i powinieneś je obejrzeć, skoro tu jesteś. Są tylko inne. - Wzięła go za rękę i pociągnęła w dalszą drogę. - Pokażę ci coś. - Przyprowadziła go pod szklaną kopułę zawieszoną nad aleją. - Stój tutaj i czekaj.
- Pobiegła aleją do drugiej kopuły.
- Halo? Mark - powiedziała.
 - Halo? Świetnie cię słysząc.
 - Tak - zaśmiała się. - To działa jak blaszan-

kowy telefon, którymi bawiliśmy się jako dzieci. Zdradź mi jakiś sekret.

Po chwili milczenia usłyszała zdecydowane „nie”.

Słumiła rozczarowanie.

- No to ja ci zdradzę pewną tajemnicę. - Mogła mu powiedzieć wiele rzeczy: „Bardzo mnie pociągasz”. Albo: „Wyczuwam w tobie smutek i chciałabym ci pomóc”, ale nie zdobyła się na odwagę, żeby mówić takie rzeczy. Więc zamiast tego powiedziała: - Giselle, zanim włoży do pieca swoje słynne croissanty, najpierw zamroź ciasto.

Rozśmieszyła go.

- Pewnie gdyby to usłyszała, zwolniłaby cię z pracy.

- Tak, ale ufam, że jej tego nie powtórzysz.

Spotkali się znowu w połowie drogi. Mark był uśmiechnięty. Wyraźnie poprawił mu się nastrój,

- Nigdy jeszcze nie spotkałem kogoś takiego jak ty - powiedział.

- Jakoś trudno mi w to uwierzyć. Jestem bardzo zwyczajna. - Odwróciła się i zapatrzyła na przechadzające się dwie szykowne paryżanki. Wszystko w nich mówiło o wrodzonej klasie - od starannie upiętych w kok włosów przez smukłe sylwetki po modne pantofelki.

- Może dla mnie zwyczajna znaczy nadzwyczajna, bo spędziłem ostatnich dziesięć lat na rejestrowaniu tego, co daleko odbiega od normy.

- Musiałaś się stęsknić za rodziną. - Sama z trudem zwalczyła towarzyszącą jej przez pierwsze tygodnie pobytu w Paryżu dżką tęsknotę za domem.

- Nie powiem, żeby mi jej brakowało. - Spojrzał na nią. - Nigdy nie byłem z nimi za bardzo związany, okazuje się jednak, że cieszę się z tego spotkania, i to bardziej niż przypuszczałem.

Nie wyobrażała sobie, żeby mogła się aż tak odciąć od swoich albo całymi latami nie mieć prawdziwego domu, jak w jego przypadku. I choć nie rozumiała w nim wielu rzeczy, nadal ją pociągał.

Mark położył rękę na jej ramionach i znów ruszyli przed siebie, minęli nieduży kanał, aż weszli na białą-czarną marmurową dróżkę, która wiała się przed nimi i ginęła w gęstym lesie.

Mark nie potrafił powiedzieć, co sprawia, że przy Lacey czuje się tak swobodnie. Może fakt, że nie musi robić na niej wrażenia ani jej uwodzić. Nic, tylko relaks. W końcu zostanie w Paryżu zaledwie kilka dni, więc nie ma sensu wdawać się z nią w coś poważniejszego. Poza tym nie jest w jego typie. Wolał wyrafinowane i doświadczone kobiety - takie, które rozumieją, że nie każdy związek wymaga miłości.

- To jest Ogród Wysp - powiedziała.

- Przypomina trochę Central Park. Tu i tam

ma się wrażenie przebywania na łonie natury w środku tętniącego miasta.

- Mieszkasz w Nowym Jorku ?

- Mam tam mieszkanie, chociaż rzadko bywam w domu. - Teraz, po wyprowadzeniu się Nancy, pewnie będzie w nim przebywał jeszcze rzadziej, przynajmniej na razie.

- Ale chociaż w tym tygodniu nacieszysz się rodziną.

- Tak... Paroma osobami. Cieszę się ze spotkania z Gabe'em i wujem Frankiem, no i z kilkoma innymi krewnymi. Dawno nie spotykaliśmy się w tak dużej grupie.

- Nie mam aż tak dużej rodziny, ale bardzo mi ich brakuje.

W tonie jej głosu wyczuł nostalgię. Domyślił się, że wcześniej zbyt wiele nie podróżowała i dlatego tęskni za domem.

- Mówiłaś, że pochodzisz z Iowa.

- Tak. Z miasteczka, które się nazywa Ames. Ładne, choć nie ma zbyt wielu atrakcji.

- Nie to co Paryż.

- Prawda, nie to co Paryż. - Kiedy wyszli z Ogrodu Wysp, rozejrzała się wokoło i pociągnęła go w miejsce, gdzie nad głowami wisiały na drzewach gigantycznych rozmiarów metalowe latawce. - Czegoś takiego nie ma w Ames.

Spojrzał na jej podniesioną głowę i na malującą się na twarzy radość i poczuł, że coś się w nim

przełamuje - jakby puściła jakaś obręcz. Świat się zmienił, wszystko wokół nabrało przyjaźniejszych barw, Mark poczuł dziwną lekkość...

- Chciałbym cię sfotografować - powiedział.

Lacey zarumieniała się aż po nasadę włosów.

- Mnie?- Och, nie, ja naprawdę...

- Kiedy ja proszę. Zostań tam, gdzie jesteś, w takiej samej pozycji, i patrz na latawce. - Wyjął z futerału kamerę i zdjął pokrywkę z obiektywu.

Lacey trochę niezręcznie cofnęła się o krok i ponownie podniosła głowę na latawce, tyle że teraz usztywniła się, a radość sprzed minuty ulotniła się.

- Zapomnij, że tu jestem. Pomyśl o czymś przyjemnym. O czymś, co sprawi, że poczujesz, radość, jakbyś unosiła się razem z latawcami.

Kiedy tak mówił, zaczęła się odprężać, rozluźniła ramiona, a na jej ustach znowu zagościł uśmiech. Popatrzyła na latawce, po czym podniosła ramiona, jakby chciała do nich dosięgnąć i unieść się razem z nimi. Mark pstryknął całą serię zdjęć, ustawiając się z różnych stron i pod różnymi kątami. Radość bijąca z twarzy Lacey była zaraźliwa.

- Wspaniale - oznajmił, opuszczając kamerę, która zawisała na pasku na szyi.

Śmiejąc się, podbiegła do niego.

- Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, jak wyszły.

- Proszę bardzo, zaraz ci pokażę. - Przełączył aparat na podgląd i odwrócił ekranik w jej stronę. Jedno po drugim przewinał wszystkie ujęcia.

Lacey zakryła ręką usta.

- O rany. Czy nie wyglądam głupawo ?

- Ani trochę. Wyglądasz pięknie.

Popatrzyli na siebie i zatrzymali na sobie wzrok. I znów doznał oszałamiającego uczucia, że coś się w nim zapada, leci w głąb. Odwrócił oczy i po chwili skoncentrował wzrok na jej ustach, takich różowych i kuszących...

Cofnęła się o krok, przerywając czary. Zaczerwieniła się, zaczęła nerwowo gmerać przy zapięciu torebki.

- Czy kiedy wydrukujesz zdjęcia, prześlesz mi odbitki? - zapytała.

- Oczywiście. - Ruszyli dalej. - O czym myślałaś, kiedy cię fotografowałem?

Uśmiechnęła się tajemniczo.

- Pomyślałam o weselu i o tym, jak wspaniale byłoby brać ślub w Paryżu w piękny wiosenny dzień, taki jak dzisiaj.

- I to ci sprawiło taką radość? - Pomyślał, że nigdy nie zrozumie fascynacji kobiet ślubami i tym, co nazywają romanssem.

- Oczywiście. - Teraz uśmiechała się całą buzią, a on poczuł, że znowu udziela mu się jej radość. - Pomyślałam o miłości. Czy może być coś lepszego?

Czy może być coś lepszego? Zwłaszcza dla kogoś, kto nigdy nie doświadczył takiego uczucia? Tego rodzaju miłości, która wydawała się niemożliwa, z wyjątkiem chwil, kiedy patrzył na Lacey. Tak jak poprowadziła go przez fantastyczne ogrody, tak teraz sprawiła, że gotów był uwierzyć, iż to, co niemożliwe, może się ziścić.

RS

ROZDZIAŁ CZWARTY

Kiedy podczas kolejnych przedweselnych biesiad kobiety robiły wiele szumu i paplały na temat pantofli, sukni, kwiatów i jedzenia, mężczyźni starali się trzymać z dala od linii frontu. Najczęściej gromadzili się przy stolikach pod drzewami z tyłu domu, gdzie grali w pokera na niewielkie stawki i opowiadali kawały, często gęsto wplatając w rozmowę gorszące przygody z wczesnej młodości.

Mark stwierdził ze zdziwieniem, że te leniwie płynące godziny w towarzystwie Gabe'a, wuja Franka i innych kuzynów oraz przyjaciół Gabe'a sprawiają mu przyjemność. Po latach pracy w terenie i nieustannym ruchu zakładał, że nawet kilka dni przymusowego kontaktu z rodziną znudzi go śmiertelnie. Okazało się jednak, że teraz pragnie, by ten czas trwał jak najdłużej.

Wieczorem, po dniu spędzonym na zwiedzaniu w towarzystwie Lacey, odbywało się przyjęcie kawalerskie. Wylądowali sporą grupą na Place Pigalle, żeby odbyć rundę po dzielnicy czerwonych świateł. Zaczęli od kolacji w „Moulin Rouge”, który zapraszał z daleka słynnym czerwonym neonem z widokiem młyna.

- Czy to prawda, że dziewczyny tańczące kankana nie mają nic pod spodem? - zapytał drużba pana młodego, Josh.

- Nie mam pojęcia. Są śliczne, ale żadna nie umywa się do mojej Alexis - powiedział Gabe.

Towarzystwo jęknęło, a Josh poklepał kumpla po plecach.

- Mówisz jak zakochany.

Te słowa jakoś nie spodobały się Markowi. Nie dlatego, żeby nie wierzył w miłość Gabe'a, tylko że właśnie przed chwilą pomyślał, iż żadna z tych wymalowanych i egzotycznie ubranych kobiet na scenie nie wygląda tak dobrze jak cudownie świeża i młodzieńcza Lacey. Co wcale nie oznacza, że się w niej zakochał. Przecież prawie jej nie zna.

Potrząsnął głową, jakby chciał oderwać się od tej idiotycznej myśli, i rzucił się w wir zabawy. Skąpo ubrane kobiety zeszły ze sceny i zasypały zażenowanego Gabe'a pocałunkami, zostawiając mu na policzkach ślady czerwonej szminki.

Po paru godzinach Mark stracił rachubę miejsc,

które zaliczyli. Jednemu ze współtowarzyszy zabawy złodziej kieszonkowy ukradł portfel, inny wypił za dużo i trzeba go było wpakować do taksówki i odesłać do zajazdu. Wołając nie ryzykować utraty pieniędzy, a może nawet życia, co było możliwe, gdyby stracił przytomność w tłumie podejrzanych typów, Mark zaczął mieszać drinki pół na pół z wodą mineralną.

Starał się bawić w najlepsze, wznosił toasty na cześć Gabe'a, wsuwał napiwki tancerkom, ale od czasu do czasu powracała myśl, że o wiele milęj czuł się w towarzystwie Lacey.

O północy podszedł do Gabe'a.

- Wracam do zajazdu - powiedział. - Już nie jestem tym balangowiczem sprzed lat.

- Zostań jeszcze - jęknął Gabe z kwaśnym wyrazem twarzy. - Nie zostawiaj mnie na łasce tych bestii. - Wskazał na resztę towarzystwa.

- Dasz sobie radę. Tylko nie zapomnij wrócić do domu do Alexis.

Twarz Gabe'a przybrała marzycielski wyraz.

- Alexis. To cudd.. .downa kobieta - wybełkotał.

- Bez wątplenia. - Poklepał kuzyna po ramieniu. - I ma szczęście, że wychodzi za ciebie.

- Powinieneś też się ożenić. Nie ma jak świadomość, że wracasz codziennie do domu, w którym czeka na ciebie kochająca kobieta.

- Zostawiam to tobie - zaśmiał się Mark.

- Nie znam tych uczuć.

- Jeszcze nie. Ale mam nadzieję, że poznasz.

Zostawił Gabe'a pod opieką pozostałych mężczyzn i kilku tancerek, wyszedł z lokalu i już po chwili siedział w taksówce.

Kiedy dotarł do „Milles Fleurs”, jeszcze trochę chwiał się na nogach. Zobaczył w kuchni światło i postanowił tam zajrzeć w nadziei, że może uprosi filiżankę kawy. Kofeina i coś do przegryzienia pomogą mu oprzytomnieć.

Pomieszczenie było puste, ale na stole dostrzegł jakieś miski i naczynia kuchenne. Uśmiechnął się do siebie i zaczął zaglądać do szafek w poszukiwaniu kawy. Pomyślał, że pewnie poznał kolejny z sekretów Giselle: zmywanie po kolacji odkłada na jutro.

Z głową w kredensie usłyszał nagle przeraźliwy krzyk za sobą. Cofnął się i omal nie zderzył się z Lacey, która kurczowo przyciskała do piersi torbę z mąką i wytrzeszczała na niego oczy.

- Mark! - Położyła rękę na sercu i zaśmiała się, ale głos jej drżał. - Przeraziłeś mnie. Myślałam, że to włamywacz.

- Tak, to ja. Złodziej kawy. - Podniósł torebkę ziarnistej kawy, którą właśnie znalazł. - Potrzebuję kofeiny.

Lacey uśmiechnęła się, a on poczuł, że sam drży, i to wcale nie tylko z powodu wypitego alkoholu.

- Mmm, kawa to brzmi całkiem nieźle. Mogę się dołączyć ?

- Jasne. Powiedz mi tylko, jak się uruchamia wasz ekspres.

- Pozwól, że sama to zrobię. - Wzięła od niego kawę i wskazała ręką miejsce przy stole, na którym stały naczynia. - Usiądź. Jak się udał wieczór kawalerski?

- Jak wszystkie takie imprezy, na których gromada dorosłych facetów sili się i popisuje rzekomą wolnością, pijąc i pożerając wzrokiem kobiety. - Tak właśnie czuł się przez cały wieczór

- jakby odgrywał wyznaczoną mu rolę, jakby zażywał przyjemności grzesznego nocnego życia, bo tak należy, a nie dlatego, że ma na to ochotę.

- To brzmi strasznie.

- No, może trochę przesadziłem, ale na pewno znam wiele przyjemniej szych rzeczy. - Zajrzał do jednej z mis na stole i zobaczył w niej bryłę ciasta.

- Co robiłaś o tak późnej porze ?

- Tutejszą specjalność, czyli maślane bułeczki, które po francusku nazywają się *brioche*. Robię je w ramach praktyki piekarniczej. Pierwsza partia wyszła okropnie, więc musiałam zacząć od nowa.

Zmiliła kawę, wsypała proszek do ekspresu, który po chwili zaczął mrużyć jak kot, a kuszący zapach unosił się w kuchni.

- Dlaczego postanowiłaś uczyć się w Cordon Bleu?- zapytał.

- Bo lubię gotować. A poza tym był to sposób na zobaczenie Paryża.

- Znam wiele innych sposobów.

Pokiwała głową.

- Ale ja nie chciałam zajrzeć tu tylko na krótko. Chciałam tu pomieszkać. Przesiąknąć kulturą. Może przeżyć romans.

Znów to słowo.

- Czy dla ciebie to aż takie ważne? - Jego słownictwo w tym zakresie było ubogie i nigdy nie przywiązywał do tego większego znaczenia, uważając, że jest to dziedzina zarezerwowana dla powieści i kina. Ale obserwując dzisiaj Gabe'a, słysząc czułość w jego głosie, kiedy mówił o Alex, poczuł się zazdrosny. Nigdy nie poznał tego rodzaju bliskości z drugą osobą i obawiał się, że to nigdy nie nastąpi.

- Romans, bliski związek dwojga ludzi jest ogromnie ważny- powiedziała Lacey. -Jest jak... jak masło, które wydobywa smak brioszki. Bez romantycznych uniesień życie byłoby tak mdłe jak chleb bez masła.

Czy jego życie jest mdłe?- Wolał wierzyć, że tak nie jest, a na razie skoncentrował się na rosnącym cieście w dzieży.

- Co zrobiłaś z pierwszą porcją?

Popatrzyła na niego, zastanawiając się, dlaczego tak nagle zmienił temat, po czym zacisnęła wargi i potrząsnęła głową.

- Są tutaj. - Schyliła się i wyciągnęła spod stołu koszyk bezkształtnych bułeczek, z których niektóre były przypalone. - Ustawiłam zbyt wysoką temperaturę. - Roześmiała się. - Ciagle jeszcze mam trudności z odczytywaniem francuskich przepisów i przestawieniem się z Fahrenheita na Celsjusza.

Wybrał bułeczkę z koszyka i ugryzł ją.

- Mmm, nie straciła nic na smaku. Wyobrażam sobie, że z masłem i dżemem byłaby jeszcze lepsza.

Zrozumiała aluzję i wyjęła wspomniane rzeczy z lodówki razem z glinianym dzbanuszkim ze śmietanką do kawy. Kiedy z ekspresu skapnęła ostatnia kropla, naląła dwa kubki dymiącej cafe au lait. Usiedli naprzeciwko siebie, chrupiąc brioszki i popijając kawę.

Mark złapał się na tym, że nie spuszcza oczu z Lacey, kiedy smarowała masłem bułkę i nabierała dżem. Uczesana była w koński ogon, ale parę kosmyków wysuniętych z gładkiej fryzury utworzyło loczki wokół twarzy, dzięki czemu przypominała teraz jedną z lautrecowskich kobiet z kawiarnianej socjety. Chociaż na policzku miała rozmazaną mąkę, a pod oczami cień znużenia, uznał, że jest piękniejsza od jakiegokolwiek idealnie umalowanej modelki czy szycownej światowej damy.

- Co się tak przyglądasz?- - spytała.

Zamrugnął, otrząsnął się z zadumy.

- Co takiego?
- Wpatrywałeś się we mnie. Dlaczego?
- Masz mąkę na policzku.

Zbliżyła rękę do twarzy.

- Gdzie?

- No... tutaj. - Podniósł się i wyciągnął rękę, żeby zetrzeć smugę. Ale ledwie musnął jej policzek, znieruchomiał. Skóra Lacey była zachwycająco delikatna i gładka jak aksamit. Zapraagnął poczuć jej zapach, zatrzymać rękę na dłużej.

Spojrzeli na siebie, a w jej pociemniałych i poważnych oczach Mark nie dostrzegł lęku ani oburzenia, raczej zachętę do dalszej pieszczoty. Przykryła rękę jego dłoń, a on zbliżył się i skoncentrował wzrok na jej ustach. Były różowe, dolna warga lekko pełniejsza od górnej, i rozchyliły się tak słodko...

Przywarł do jej ust, ujął ją za kark, przytulił, a językiem szerzej rozchyłał jej wargi i napawał się ich słodyczą.

Lacey pochyliła się w jego stronę, zacisnęła oczy w obawie, że kiedy je otworzy, czar pryśnie i okaże się, że była to jej kolejna fantazja. Chciała tego pocałunku od momentu, kiedy zobaczyła Marka tamtego wieczoru - ze zmierzwionymi włosami, lekko przekrwionymi oczami, z wyrazem twarzy zagubionego dziecka. Tak, pragnęła tego pocałunku.

Chwyciła go za ramiona i stanęła na palcach, przysuwając się tak blisko, jak tylko mogła. Gdyby miała więcej odwagi, wczołgałaby się na stół, przylgnęła do Marka całym ciałem i kochała się z nim nawet na posypanym mąką blacie, wśród oparów kawy i słodkiej woni truskawkowego dżemu.

Ale jak dotąd to, co czuła, przekazywała mu jedynie pocałunkami. Mark nie pozostawał jej dłużny.

Jęknął i pogłębił pocałunek, wsunął palce w jej włosy, uwalniając je od elastycznej opaski i pozwalając im opaść.

Zaskoczył ich cichy dźwięk dzwonka. Oderwali od siebie usta, chociaż nadal się trzymali.

- Co to było? - zapytał ochryplym głosem Mark.

- Hm... timer. - Ociągając się, Lacey uwolniła się z ramion Marka i wyłączyła cyfrowy minutnik, który nastawiła, żeby wiedzieć, kiedy zacząć formować bułeczki.

Myjąc ręce, unikała jego wzroku. Teraz, kiedy magia prysła, zastanawiała się nad sensem ulegania takiej namiętności. Co jej przyjdzie z tego, że straci głowę dla mężczyzny, który zostanie w Paryżu tylko kilka dni? Dla mężczyzny, który nad proste i naturalne sprawy, dla niej ważne i bliskie, przedkłada wólczęę po świecie w pogoni za sensacją.

- Lepiej skończę brioszki - powiedziała i nie patrząc na niego, sięgnęła po kawałki ciasta i na posypanym mąką blacie formowała kształtne bułeczki.

- Taak. - Długi czas milczał; czuła na sobie jego wzrok. - Dziękuję za kawę - powiedział na koniec. - Lepiej pójdę już spać.

- Dobranoc - odpowiedziała, a kiedy podniosła wzrok, Mark zniknął właśnie za drzwiami. Oparła się o stół. Znużenie, które ją ogarnęło, miało niewiele wspólnego z późną porą nocną. Kogo ona oszukuje?- Za późno na dywagacje na temat zadurzenia się w Marku Kendricku. Przecież już przepadła z kretesem.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Nazajutrz rano przy śniadaniu Lacey wyglądała Marka, ale się nie pojawił. Podobnie jak pan młody i pozostali mężczyźni weselnego przyjęcia.

- Wszyscy leczą w łóżku kaca - zaśmiała się Taylor, siostra panny młodej, przewracając oczami, kiedy Lacey skomentowała nieobecność mężczyzn. - Posłużyło im balowanie i hulanie przez całą noc.

- Czy wczoraj nie odbył się też paniński wieczór?

Taylor uśmiechnęła się szeroko.

- Tak, ale my, kobiety, pijemy słabszy alkohol i lepiej go znosimy.

Lacey wróciła do kuchni i zaczęła przygotowywać jajka na omlety. Powątpiewała w kaca Marka. Nie wydawał się ani trochę pijany, kiedy

rozmawiali wczoraj w kuchni. Zresztą ani jej w głowie przypisywać ich wczorajszy pocałunek upojeniu alkoholowemu.

Ten pocałunek to była po prostu czarodziejska chwila. Jak marzenie ze snu, chociaż Lacey wiedziała, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Kiedy zamknęła oczy, czuła prawiej ego wargi na swoich ustach, dłoń pieszczącą jej szyję.

- Może byś spojrzała na jajka, zanim się spalą
- skarciła ją Giselle.

- Przepraszam. - Lacey znowu zajęła się patelnią z omлетem. - Pracowałam do późna, bo piekłam brioszki.

- Rozumiem. - Twarz Giselle złagodniała.

- Udały się wspaniale, skarbie. Robisz postępy.

- Dziękuję, Giselle. Pochwała z twoich ust to nie byle co.

- Nie gniewaj się, że zrzędzę od rana, ale jutro przyjeżdża ten ich mistrz kucharski, który ma przygotować tort, a mnie się wcale nie uśmiecha dzielenie z nim mojej kuchni. Zwłaszcza że na pewno będzie się wywyższał.

- Jestem pewna, że go oczarujesz - uśmiechnęła się Lacey. - I nie wątpię, że nauczysz go jeszcze niejednego. Tak jak mnie nauczyłaś.

- Jesteś strasznie kochana - rozculiła się Giselle. - A teraz pośpiesz się z omletami. Potem zaniemiemy kawę naszym inwalidom na górce.

Liczyła trochę, że Mark znajdzie się na jej liście zamówień, ale tak się nie stało. Zaniosiła kawę

Gabe'owi i Joshowi, którzy szczerze wyrazili swoją wdzięczność za błogosławiony napój, a także dwóm innym kuzynom, po czym na chwilę przystanąła pod drzwiami pakamery Marka, ale nie odważyła się zapukać.

Godzinę później skończyła pracę w kuchni i poszła na górę, żeby się przebrać. Zajęcia w szkole zaczynały się dopiero po południu, więc pomyślała, że mogłaby udać się do biblioteki. Cokolwiek, byle wyjść z zajazdu, gdzie możliwość spotkania - albo niespotkania - Marka wystawiała jej nerwy na ciężką próbę.

Zdziwiła się, kiedy znalazła kartkę zaadresowaną do siebie nieznanym charakterem pisma, przypiętą do drzwi. Rozdarła kopertę i przeczytała:

Lacey,

Chciałem cię przeprosić za to, co się stało wczoraj w kuchni. Złóż moje żalosne zachowanie na karb zbyt późnej pory albo za dużej ilości wypitego alkoholu, albo choćby na fakt, że tak długo przebywałem poza krajem, iż odczyłem się dobrych manier. Czuję się tak, jakbym nadużył twojej przyjaźni i jest mi z tego powodu przykro.

Z wyrazami przyjaźni

Mark

Długo wpatrywała się w słowa napisane na hotelowej papeterii, aż stały się niewyraźne, po-

tem zgmiotła kartkę i cisnęła ją do kosza na śmieci pod biurkiem. Po chwili, tłumiąc płacz, wyciągnęła ją i próbowała wygładzić, aż w końcu wsunęła liścik między kartki jednego z podręczników.

Jak śmie ją przepraszać! Jakby była dzieckiem, które nie wie, co robi i czego chce! Jak śmie traktować ten cudowny pocałunek w kategorii dobrych czy złych manier albo alkoholowego upojenia. Jak on śmie!

Nie posiadając się z oburzenia, wypadła ze swej sypialni i zbiegła ze schodów. Zapukała do drzwi pokoiku Marka, nie zważając na to, że ktoś z jego rodziny może ją usłyszeć.

- Otwórz te drzwi, Mark! - zawołała.

- Wiem, że tam jesteś.

Drzwi otworzyły się tak szybko, że przeleciała przez próg i omal nie upadła. Mark złapał ją i wciągnął do środka.

- Co tutaj robisz? - zapytał schrypniętym szeptem.

- Co z tobą? Masz zapalenie krtani?

- Nie, ale nie chcę, żeby ktoś nas usłyszał.

- Dlaczego? Wstydzisz się mnie? Dlatego wysłałeś tę obrzydliwą kartkę ?

- Obrzydliwą? - Skrzywił się. - Masz na myśli moje przeprosiny? - Co w nich obrzydliwego ?

- Dlaczego uznałeś, że musisz mnie przeproszać? - Wbiła palec w jego pierś, przypierając go

do łóżka. - Chciałam, żebyś mnie pocałował. Chciałam też czegoś więcej i wydawało mi się, że ty też chcesz tego samego. Dlaczego tak śmiertelnie boisz się przyznać do tego?

- Śmiertelnie się boję? - Wyprostował się i złapał jej rękę. - Co chcesz przez to powiedzieć?

- Na dobrą sprawę od momentu, kiedy cię poznałam, nie przestajesz powtarzać, że nie wierzysz w romantyczne uczucie, że to jakaś sentymentalna bzdura i temu podobne rzeczy.

A tymczasem wiele chwil, które spędziliśmy razem, należało do najbardziej romantycznych w moim życiu. Jak mogłeś tego nie zauważyć?

Zwolnił uścisk ręki, a drugą pogłaskał ją po ramieniu.

- Może dlatego, że nie mam doświadczenia.

- Więc zdobądź je ze mną. Niczego bardziej nie pragnę. - Stała na palcach, żeby go pocałować, a delikatne muśnięcie jej warg zamieniło się błyskawicznie w gorący pocałunek.

Wczorajszy pocałunek był jak kawałek czarnej czekolady podanej z owocami na zakończenie posiłku - słodki i kuszący. Ten zaś był jak czekoladowo-karmelowy tort z bitą śmietaną, zachęcający do obżarstwa.

Między nimi nie było teraz stołu ani bułeczek czekających na włożenie do pieca, nie zachodziła też obawa, że ktoś albo coś może im przeszkodzić. Skoncentrowani byli tylko na sobie - na tym, że

ich ciała tak idealnie przylegają do siebie, na delikatnych mięśniach warg, na splecionych jedwabistych językach, na świadomości, że są tak zgrani, iż pragną, żeby ta chwila trwała wiecznie.

Razem padli na łóżko i nie przestając się całować, poznawali nawzajem swoje ciała. Kiedy ścisnął jej pierś, wygięła się ku niemu i na oślep szukała guzików jego koszuli. Nieważne, że był to środek poranka i że byli otoczeni tłumem ludzi, którzy mogli ich usłyszeć. Skupieni tylko na sobie, rozkoszowali się chwilą i narastającym pożądaniem.

Pukanie do drzwi było tak głośnie jak strzał z pistoletu. Zamarli w bezruchu. Powtórzyło się, a towarzyszył mu donośny męski głos:

- Mark, otwórz. To ja, Alan.

Twarz Marka stała się śmiertelnie blada, a palce ściskające ramię Lacey wpiły się z taką siłą, że musiały pozostawić sine ślady.

- Mark, co się dzieje? - zapytała. - To boli.
Puścił ją i usiadł na brzegu łóżka.

- Cśś, bo jeszcze mnie usłyszysz - wyszeptał.

Kiedy na nią spojrział, w jego oczach malował się smutek... i strach?

- To mój ojciec - powiedział.

Alan nie przestawał walić w drzwi i można było przypuszczać, że nie odpuści.

- Lepiej mu otwórz - szepnęła. - Za chwilę zjawią się wszyscy, żeby zobaczyć, co się dzieje.

Mark pokiwał głową.

- Ale on nie może zastać cię ze mną.

Było rzeczą niedopuszczalną, żeby żeński personel przebywał w niedwuznacznej sytuacji w sypialni hotelowych gości.

Rozejrzała się po pokoiku.

- Nie wiem, jak możemy tego uniknąć,

- Schowaj się pod łóżko. Pozbędę się go najszybciej, jak będę mógł.

Chciała zaprotestować, ale po sekundzie skinęła głową. Pomógł jej wsunąć się pod łóżko, a następnie obciągnął narzutę.

- Idę, tylko skończę się ubierać - zawołał.

Zapiął koszulę, palcami przecesał włosy, odetchnął głęboko i otworzył drzwi.

Jakkolwiek by się tego wypierał, to teraz, patrząc na Alana, nie mógł nie uznać faktu, że są ojcem i synem. Alan Kendrick był teższą i posiadał wersję Marka.

- Dlaczego to tak długo trwało? - zapytał Alan, ładując się do pokoju.

Ileż razy Mark pragnął zadać ojcu to samo pytanie!

- Skąd się tu wzięłeś? - zapytał.

- Zostałem zaproszony. Mimo że jesteśmy rozwiedzeni z twoją matką, przynajmniej Gabe nadal uważa mnie za członka rodziny. - Alan rozejrzał się po klitce. - Co to takiego, spiżarnia? Powinieneś się przenieść do naszego hotelu. Pięć gwiazdek i wspaniały widok na wieżę Eiffla.

- Wolę być tutaj z moją rodziną.

Alan nawet nie zwrócił uwagi na złośliwy przytyk.

- Słyszałem, że będziesz fotografować wesele. Widzę, że dosyć daleko odszedłeś od tego, co robisz na co dzień.

Mark zacisnął zęby. Dlaczego każde słowo ojca zawsze brzmi jak wyzwanie?

- To mój prezent dla młodej pary. Robię to też dla wuja Franka.

- Mam nadzieję, że to docenią. Margie pokazała mi twój reportaż o afgańskich uchodźcach. Kawał dobrej roboty.

Komplement zaskoczył Marka. Dobry obyczaj nakazywałby podziękować za pochwałę, ale on nie mógł wydobyć z siebie ani słowa.

- Czy Margie jest z tobą? - zapytał zamiast tego. Margie była trzecią, a może czwartą żoną Alana. Była pulchną, miłą osobą, starszą od większości dotychczasowych przyjaciółek ojca.

- Tak. Powiedziała, że zawsze chciała zobaczyć Paryż, więc pomyślałem, czemu nie? - Wiesz, jak bardzo kobiety lubią te wszystkie romantyczne dyrdymały.

Nic dziwnego, że przy takim nastawieniu Alan żenił się trzy - albo cztery - razy. Ledwie to pomyślał, przypomniał sobie Lacey. Zarzuciła mu, że boi się sentymentalnych wzlotów. Do cholery, czy można go winić, skoro ma takiego

ojca? Kto, jak nie on, nauczył go trzymać się z dala od ludzi i nie pozwolić im na żadną bliskość?

- Czego ode mnie chcesz?- - zapytał.

- Chcę zobaczyć mojego syna. Zobaczyć, jak się masz, dowiedzieć, co u ciebie słychać.

- Nie sądzisz, że jest już trochę za późno na to zainteresowanie?

Alan zmarszczył brwi. Wyglądał staro na swoje lata.

- Co było, to było, synu. Przykro mi, że sprawy nie ułożyły się tak jak powinny, ale moglibyśmy już dać sobie z tym spokój i posunąć się krok do przodu.

- A mnie się wydaje, że ty i ja zmierzamy w zupełnie innych kierunkach. - Mark potarł skronie. Ból głowy stał się nieznośny i walił rytmicznie jak młot. - A teraz wybaczone, ale mam coś ważnego do zrobienia.

Alan przyglądał się synowi dłuższą chwilę, potem potrząsnął głową i odwrócił się z zamiarem wyjścia.

- Do zobaczenia.

- Do zobaczenia.

Mark zamknął za ojcem drzwi, a potem oparł głowę o drewnianą framugę, starając się nie myśleć. Dawno zerwał łączące go więzy z Alanem, więc dlaczego jego widok zawsze go tak rozstrajał?

Z tego wszystkiego zupełnie zapomniał o La-

cey, która tymczasem zdążyła już wyjść spod łóżka.

- Dobrze się czujesz? - zapytała, delikatnie dotykając jego ramienia.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, w których zobaczył tyle troski i niepokoju, że ze wzruszenia coś ścisnęło go za gardło.

- Tak... - wychrypiał. - Tylko... walczę z bólem głowy.

Pokiwała głową.

- Więc to był twój ojciec.

- Tak.

- Kiedy go widziałeś ostatnio?

- Pojawia się sporadycznie, ale i tak dla mnie stanowczo za często, i próbuje wkraść się z powrotem w moje życie. Ale wiesz, wolałabym o nim nie mówić.

- Okej, jak chcesz - powiedziała z lekka urażonym tonem.

Nic na to nie mógł poradzić, ale tematu ojca nie chciał poruszać.

Lacey leciutko go pogłaskała, a potem się odsunęła.

- Będzie lepiej, jeśli sobie pójdę - powiedziała cicho.

Przytaknął ruchem głowy.

- Zobaczymy się później. - Później, kiedy na tyle się pozbiera, że znów będzie mógł spokojnie spojrzeć jej w oczy.

- Do widzenia - powiedziała łagodnie, zamykając za sobą drzwi.

Opadł na łóżko, przycisnął do piersi poduszkę i ścisnął ją tak mocno, jakby w ten sposób mógł wyrzucić z siebie cały ból - wszystkie doznane krzywdy, lęki i rozczarowania. Przeszłość wlokła się za nim jak kajdany u nóg, utrudniając posuwanie się naprzód. Choć bardzo się starał, jeszcze dotąd nie znalazł sposobu na pozbycie się tego ciężaru.

RS

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Lacey wymknęła się z pokoju Marka. Jej uniesienie opadło, dominował smutek. Wyraz oczu Marka, kiedy zorientował się, że za drzwiami stoi jego ojciec, bardzo ją przygnębił. Nagle, za fasadą dorosłego mężczyzny, dostrzegła twarz chłopca, który został porzucony przez osobę, którą bardzo kochał. Z dosłyszanej rozmowy wywnioskowała, że Mark nadal potrzebuje ojcowskiej miłości, ale że jest zbyt dumny - a może się boi - by o nią prosić.

Gdyby mogła, wyczołgałaby się spod łóżka i zapytała ich, czy nie mogą przestać być tacy... tacy nieustępliwie męscy, i spokojnie wysłuchać siebie nawzajem.

Ale na dobre związki dwojga ludzi nie ma recepty, przypomniała sobie.

Schodziła po schodach, kiedy usłyszała znajomy głos:

- Mademoiselle Lacey. Zaczekaj, proszę.

Odwróciła się i poczekała, aż Celeste Beaulieu dołączy do niej. Dzisiaj seniorka rodu miała na sobie różowy kostiumik, z pewnością od piekielnie drogiego projektanta, a fryzura i makijaż były jak zawsze idealne. Lacey chciałaby tak wyglądać w jej wieku.

- Zauważyłam, jak wychodziłaś z pokój u naszego przystojnego fotografa. - Madame Beaulieu nachyliła się i dodała konspiracyjnym tonem: - Czy poranek nie jest cudowną porą na spotkanie?

Lacey zaczerwieniła się.

- Ja... właśnie dostarczałam zamówienie z room service'u.

- Ależ oczywiście! Od tego jest room service; żeby wszyscy byli zadowoleni - zaśmiała się Madame Beaulieu. - Nie myśl, że cię ganię, moja droga. Tak naprawdę to jestem zazdrosna. Kobieta w pewnym wieku ma coraz mniej okazji, żeby poromansować, ale pamiętam dobrze to niesamowite uczucie, kiedy nie można się doczekać momentu spotkania z ukochanym.

- Mark i ja nie jesteśmy... to znaczy, my...

Madame Beaulieu znowu się zaśmiała.

- Jeżeli jeszcze nie jesteście kochankami, to przepowiadam ci, że wkrótce będziecie. Widziałam, jak patrzycie na siebie.

- To znaczy jak? - zapytała szczerze zainteresowana Lacey.

- Bardzo namiętnie, ale też i czule. - Starsza pani poklepała ją po ręku. - Nie masz się czego wstydić. Jesteś młoda i nie bój się pójść za głosem serca.

Powiedziała to z taką pewnością siebie i życiową mądrością, że Lacey mogła jej tylko poza-zdrościć takiego doświadczenia, które bardzo by się jej przydało w kontakcie z Markiem.

- Ale... prawie go nie znam. Skąd mogę wiedzieć, czy to, co czuję, jest prawdziwe.

Uśmiech madame Beaulieu był tak promienny i ciepły jak słońce nad Paryżem.

- Skąd masz wiedzieć, że jesteś zakochana?
- Położyła rękę na piersi Lacey. - Posłuchaj, co mówi twoje serce. Ono cię nie oszuka. Poza tym dlaczego nie miałabyś się zakochać w kimś, kogo dopiero poznałaś? Pierwsze wrażenie jest bardzo ważne i na ogół trafne. Kiedy widzimy kogoś pierwszy raz, musimy się zdać na intuicję, a nie na to, co podpowiada rozum. Tak samo jest z miłością. - Cofnęła się o krok. - W końcu jesteś w Paryżu, jest wiosna i wszystko staje się możliwe, czyż nie? - powiedziała z filuternym błyskiem w oczach.

Lacey pokiwała głową. Rzeczywiście, w Mieście Światła wszystko wydaje się możliwe. Nawet tak niepasująca do siebie para jak dziewczyna z farmy w Iowa i światowej sławy fotoreporter[^] Kuszająca perspektywa, ale czy ostrzeżenia matki,

która uważa, że powinna znaleźć sobie kogoś ze swojej sfery i o podobnych doświadczeniach, nie powinny jej powstrzymać^ Gdyby tylko знаła przepis na idealną przygodę miłosną - taki, który by się zawsze sprawdzał!

Mark czuł się dziwnie, uwikłał się bowiem w niespodziewaną sytuację. W ramionach Lacey zapomniał o bożym świecie i przez chwilę wydawało mu się, że wszystko jest możliwe, nawet zakochanie się w kobiecie, którą poznał zaledwie przed czterema dniami.

Potem ojciec stukający do drzwi ściągnął go na ziemię. W realnym świecie miłość kojarzy się z utratą kogoś bliskiego. Ludzie są nieobliczalni. Odchodzą, a człowiek nie ma sił, żeby ich zatrzymać. I nieważne, czy jesteś małym chłopcem, czy dorosłym mężczyzną, zawsze boli tak samo.

Kiedy pierwszy raz wziął kamerę do ręki, okazało się, że znalazł sposób na złagodzenie bólu. Obserwowanie życia przez soczewkę przywracało mu równowagę. Mógł kadrować świat w dowolny sposób i dystansować się od emocji towarzyszących każdemu wydarzeniu.

Więc wziął się do pracy. Obiecał Gabe'owi i Alex, że pstryknie trochę nieupozowanych zdjęć ze ślubnego przyjęcia. Zwykle gdy koncentruje się na otoczeniu, zapomina o własnych problemach.

Udał się z kamerą do ogrodu. O tej porze, zapewne po wybrykach kawalerskiego wieczoru, było tu cicho i spokojnie. Dostrzegł w altanie jakiś ruch, więc podszedł cichutko, żeby nikomu nie przeszkadzać, ktokolwiek tam był.

Na ławeczce w altance siedzieli Gabe i Alexis. Głowa przy głowie, trzymali się za ręce i cicho rozmawiali. Mark ustawił się za kwitnącym krzewem i wycelował na nich kamerę.

Kiedy Gabe wziął Alexis za rękę, a ona podniosła głowę, uśmiechając się do niego, Mark nacisnął migawkę, utrwalając miłość i bezgraniczne szczęście malujące się na twarzach panny młodej i jej narzeczonego. Potem, żeby czar nie przysł, ulotnił się szybko.

Ponieważ nikogo więcej nie było w ogrodzie, wrócił do zajazdu i wszedł do bocznego saloniku, gdzie często zbierali się goście. Również tam nie zastał nikogo, dopiero kiedy wychodził, zjawili się Josh, Shannon i Taylor.

- Cześć, Mark! - ucieszył się Josh. - Dałem się namówić tym kobietom na partyjkę monopolu.

- Znalazłam tu wczoraj francuską wersję gry.

- Taylor wyjęła z szafy mocno sfatygowane pudełko.

- Nie zagrałbyś z nami? - zapytała Shannon.

- Nie. Ale chętnie zostanę i pstryknę parę zdjęć. Obiecałem Alexis, że zrobię kilka nieoficjalnych fotografii.

- Nie krępuj się. - Taylor otworzyła pudełko i zaczęła rozdawać karty planszowe. - Dla ciebie samochód, Josh. Shannon, zdaje się, że najbardziej lubisz taczki. A ja będę szkockim terierem.

Mark przeszedł w drugi koniec pokoju. Gdy tamci zaczęli grę, zrobił całą serię ujęć, koncentrując się głównie na druźbie i na pierwszej drużynie. Uśmiechnął się z ulgą - nareszcie ma do czynienia z normalnymi ludźmi, a nie z zakochanymi wariatami.

Podniósł kamerę do oka, żeby zrobić ładny kadr, i zamarł. Shannon i Josh, niby obojętni wobec siebie i pozornie skoncentrowani na grze, zerkali na siebie co chwilę, coś ich jakby ciągnęło, nieświadomie pochyłali się ku sobie, a Shannon raz po raz zakładała nogę na nogę. Kiedy Josh, sięgając po kostkę, niechcący dotknął ręki Shannon, ona aż podskoczyła.

Mark nacisnął migawkę, nie wierząc własnym oczom. Ale kamera nie kłamie. Spędził większość dorosłego życia w strefach wojny i na pobojuwiskach. Teraz przekonywał się, że nawet w przypadku związku dwojga ludzi prawdziwa opowieść nie zawsze wyrażana jest w słowach albo czynach, ale także w emocjach przekazywanych spojrzeniem albo wyrazem twarzy. Niezależnie od tego, co robili i jak się zachowywali, Josh i Shannon byli świadomi siebie nawzajem - swojego pożądania, a może nawet miłości.

Po chwili Mark wymknął się z pokoju. Tak bardzo przywykł do oglądania innych przez obiektyw, że prawie nigdy nie pomyślał o tym, jakie wrażenie on sam robi na innych. Co widzą, kiedy patrzą mu w oczy? Co widzi jego ojciec? Co widzi Lacey?

Powinien pójść do niej i przeprosić za obcesowy sposób, w jaki ją pożegnał. Zdenerwowanie z powodu nagłego pojawienia się ojca nie powinno się było odbić na zachowaniu wobec Lacey. Pośpieszył do kuchni, ale jej nie zastał.

Przy głównym stole, w wykrochmalonym fartuszku i w przekrzywionym na jedno ucho czepku, stała Giselle. Ścisnęła kurczowo blat stołu i piorunowała wzrokiem mężczyznę, który stał naprzeciwko niej. Był to mocno zbudowany facet, cały na białą, od wykrochmalonych spodni przez nakładany przez głowę fartuch aż po czepkę, wysoki i prosty, górujący nad jego głową jak mitra biskupa.

- Nie ma mowy, panie Gautier, żeby już od rana korzystał pan z mojej kuchni - wycodziła Giselle. - Mam pełno gości w zajeździe i muszę ich nakarmić.

- Ależ pani Fortier, ja już muszę zacząć przygotowywać wspaniałe ciasto, które mam wyczarować na wesele. - Uśmiechnął się z iście francuskim szarmem. - Kiedy pani zobaczy, jakie arcydzieło zaplanowałem, zrozumie pani,

dlaczego stworzenie go zajmie dwa pełne dni pracy.

Giselle prychnęła.

- Nie rozumiem, dlaczego nie może pan tworzyć swojego dzieła sztuki u siebie.

- Nie, nie! - Obszedł stół i ujął dłoń Giselle.

- Tort jest zbyt delikatną materią, żeby narażać go na transport. Należy go wykonać w miejscu, gdzie odbywa się przyjęcie. Przykro mi, jeśli nie została pani o tym poinformowana.

- Nie sądziłam, że zajmie to panu tyle czasu i że zostanie pan tutaj do późnego wieczoru.

- Giselle wyrwała rękę z uścisku mistrza. - To o wiele za długo.

- Ach, widocznie informacja została zniekształcona w wyniku tłumaczenia z angielskiego.

- Gautier spojrział na nią kątem oka. - Jako profesjonalistka rozumie pani, jak to jest, kiedy ma się do czynienia z cudzoziemcami.

Mina Giselle trochę złagodniała.

- Dobrze, że chociaż uznał pan mój profesjonalizm, mimo że mamy inny rodowód zawodowy.

- Ależ naturalnie! - Ponownie załapał ją za rękę. - Kuchnia „Milles Fleurs” cieszy się wzorową opinią. Słyszałem, że *boeufen croquette* to danie, które każdy mężczyzna pragnąłby spróbować przynajmniej raz w życiu.

Mark spodziewał się, że szyte grubymi nićmi

pochlebstwo spotka się ze stosowną reakcją wyniosłej Giselle - że może nawet wymierzy mu policzek - tymczasem, ku jego zdumieniu, szefowa kuchni rozplynęła się w uśmiechu.

- Jest pan bardzo uprzejmy - powiedziała, oblewając się rumieńcem.

- Droga pani Fortier, byłoby dla mnie największym zaszczytem, gdyby zechciała pani asystować przy powstawaniu mojego weselnego tortu. Jestem pewien, że razem stworzymy niezapomniane dzieło, tort godny tak ważnej okazji jak zaślubiny.

Giselle cofnęła się o krok, a jej twarz znowu przybrała poważny wyraz.

- Drogi panie - powiedziała z porażającą oschłością - mam swoją pracę do wykonania. Jeśli nie może się pan obejść bez pomocy, to nie mój problem.

- Zapewniam, że w żadnym razie chciałem pani obrazić - kajał się Gautier. - Nigdy bym nie śmiał potraktować pani jako pomocnicy. Powiniennem być raczej użyć słowa „partnerka” albo „współautorka”.

Giselle wyglądała na nieprzekonaną.

- Tak jak powiedziałam, mam własną pracę do wykonania, a pana pochlebne słówka niczego nie zmieniają.

- Oczywiście, droga pani. Zachowałem się impertynencko. Ale to nie zmienia faktu, że pani

musi gotować i ja muszę gotować, i że mamy tylko jedną kuchnię. Jak moglibyśmy wypracować kompromis?

W tym momencie Mark wiedział, że Gautier wygrał.

- Są dwa piece - powiedziała po namyśle Giselle. - I możemy się podzielić stołem kuchennym. Jedyne, o co proszę, to o nieprzeszkadzanie mi w pracy.

- Dziękuję szanownej pani. - Gautier złożył dworski ukłon. - Jest pani dla mnie aż nazbyt łaskawa.

Dźwignął dużych rozmiarów kosz, postawił go na stole i zaczął wypakowywać imponujący zestaw misek, trzepaczek, miarek i koszyków. Z innego koszyka wyjął mąkę, cukier oraz tajemnicze butelki i pudełka z przyprawami. Giselle odwróciła się do niego plecami i zaczęła wyjmować z szafek własne narzędzia pracy, a jednocześnie nie odrywała prawie wzroku od błyszczącej powierzchni lodówki, która odbijała sylwetkę i poczynania kucharza.

- Czy woli pani, żeby dominującą nutką korzennego ciasta był cynamon czy też kardamon?
- zapytał, ustawiając na brzegu stołu buteleczki i pudełka.

- Oczywiście, że kardamon. Jest bardziej wyrafinowany.

- Prawda. A może też odrobinę goździków?-

- Tak, ale tylko odrobineczkę. - Giselle postawiła na stole masywną patelnię i zwróciła się do pana Gautier. - Więc robi pan korzenny tort na wesele?

- Korzenny tort przekładany konfiturą i marcepanem, z polewą z zamrożonej bitej śmietany.

- To będzie zbyt ciężkie - uznała Giselle.

- Weselny tort powinien być lekki i rozpląwać się w ustach. W taki dzień nikt nie będzie chciał obciążać żołądka ciężkim jedzeniem.

- Ten tort rozplynie się w ustach - powiedział z naciskiem Gautier. - A mrożony krem uczyni go bardzo lekkim. To będzie istna fantazja.

- A z ilu jajek?

- Z tuzina.

Giselle z aprobatą pokiwała głową.

- I oczywiście białka i żółtka będą ubite oddzielnie.

- Oczywiście, koniecznie oddzielnie.

- Jakżeby inaczej ? W przeciwnym razie tort byłby ciężki jak ołów.

- Zaraz pani pokażę. A teraz poproszę o tamtą miskę, jeśli będzie pani tak łaskawa.

Kiedy Mark opuszczał kuchnię, Giselle i Gautier jeszcze się droczyli. Zastanawiał się, ile potrzeba czasu, żeby Giselle zamieniła się w pomocnicę pana Gautiera.

Ale może właśnie tego potrzebuje, żeby wyjść z sytuacji z honorem. A może w grę wchodzi inne

emocje - te, które sprawiają, że mężczyźni i kobiety lgną do siebie bez potrzeby używania słów.

Wrócił do swojego pokoju, usiadł na brzegu łóżka i przejrzał zdjęcia na ekraniku cyfrowej kamery.

Na kogo nie spojrział - Giselle i Gautier, Josh i Shannon, wreszcie Gabe i Alexis - wszyscy promienieli szczęściem i ufnie patrzyli w przyszłość. Wszyscy byli zakochani. A on ponownie poczuł się... zazdrosny.

Nie należał do tych, którzy wierzą w przeznaczenie, ale nie mógł opędzić się od myśli, że jego obecność w tym domu, na tym ślubie, w otoczeniu całej rodziny, może nie jest przypadkowa. Kto wie, czy nie otrzymał szansy, by zastanowić się nad własnym życiem i nad tym, co mógłby w nim zmienić, żeby nadrobić stracony czas.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„Kiedy nie wiesz, co robić, idź do kuchni i upiecz coś”. Lacey kierowała się tym mottem, odkąd dawno temu opanowała sztukę pieczenia maślanych ciasteczek z bakaliami. Tak się właśnie złożyło, że jej uczuciowa rozterka zbiegła się z egzaminem z pieczenia ciast, na który miała wymyślić oryginalny deser i zaprezentować go w klasie.

Dzień przed weselem zastał ją z rękami po łokcie w mące i cukrze przy stole kuchennym w zajeździe. Postanowiła upiec tartę ze świeżych wiśni z kremem z orzechów laskowych. Już poplamiła palce, drylując wiśnie, a jeszcze czekało ją łuskanie i tłuczenie orzechów.

Co gorsza, Giselle i mistrz kuchni wynajęty do zrobienia weselnego tortu, Hugh Gautier, uparli się, że „pomogą” jej stworzyć arcydzieło.

- Moja droga, powinnaś dodać do masy pastę migdałową, której zapach idealnie współbrzmi z wiśniami - radził mistrz Gautier.

- Co za pomysł! - Mistrzyni Giselle odtrąciła go łokciem. - Pasta migdałowa sprawi, że masa będzie za ciężka. - Obrzuciła Gautiera pogardliwym wzrokiem. - Mężczyźni nie potrafią zrobić naprawdę lekkiej potrawy.

- Ale za to wiedzą, co dobre. - Otaksował wzrokiem odwróconą tyłem Giselle i uśmiechnął się szelmowsko.

Giselle pisnęła, zaczerwieniła się, a Lacey omal nie parsknęła śmiechem.

- Impertynent z pana! - ofuknęła kokieterycznie zalotnika.

- Droga pani, to prawda, że przy pani zapominam o dobrych manierach. - Złożył dłonie w błagalnym geście. - Proszę o wybaczenie, ale trudno się pani oprzeć.

- Jestem pewna, że mówi pan to każdej kobiecie w każdej kuchni, w której pan pracuje. - Giselle powróciła do poprzedniej wyniosłej postawy. - Znam się na takich jak pan. Nic dobrego, po prostu nic dobrego.

- Wcale się pani nie zna, ale jeśli pani pozwoli, możemy się poznać lepiej.

Lacey włączyła mikser, do którego wrzuciła orzechy, odcinając się tym samym od ich śmiechów i żarcików. Jeśli Giselle zechce poznać jej

zdanie, powie jej, żeby przychylniejszym okiem popatrzyła na zaloty mistrza Gautiera. Starszy pan był wyraźnie oczarowany koleżanką po fachu, ale duma albo obawa o to, jak Giselle je przyjmie, onieśmiały go.

Czy nie z tego samego powodu Mark wycofuje się, ilekroć są z sobą blisko?^ Dodała do miksera masło i cukier i przyglądała się, jak składniki zamieniają się w ciasto. Czuła, że Mark chce się do niej zbliżyć, ale jego doświadczenie życiowe, wyobrażenia o miłości albo jeszcze coś innego powstrzymują go przed zrobieniem następnego kroku.

Przełożyła ciasto do formy na tarty i zaczęła formować spód. Ach, gdyby ludzie kierowali się uczuciami - szli za głosem serca, jak radziła Celeste - a nie główkowali przez cały czas, świat bez wątpienia byłby lepszy.

Zacząła przygotowywać masę.

- Jak ci idzie, panienko Lacey? - Gautier wynurzył się ze spiżarni, niosąc na tacy spód weselnego tortu. Za nim szła Giselle z kolejną warstwą.

- Myślę, że całkiem nieźle. - Lacey spróbowała nadzienia. Jeszcze mu czegoś brakowało. - Chyba pasta migdałowa nie bardzo do tego pasuje.

- A nie mówiłam? - Giselle spojrzała na Gautiera.

- Ale może byłby lepszy... migdałowy likier? - zastanowiła się na głos Lacey.

- Amaretto. Znakomicie!
- Tylko nie za dużo - ostrzegła Giselle. - Żeby broń Boże nie zdominował zapachu orzechów i wiśni.

- Słusznie - potwierdził Gautier. - Tylko odrobineczkę. Ledwie, ledwie.

- Gdzieś tu miałam amaretto. - Giselle odwróciła się do kredensu.

- Chętnie pani pomogę. - Gautier rzucił się i z górnej półki zdjął butelkę.

- Bardzo dziękuję. - Z rumieńcem na twarzy Giselle wyglądała jak zawstydzona panienska.

Ci dwoje dłuższy czas przebywali sam na sam w spiżarni, więc niewykluczone, że zdążyli lepiej się poznać, zadumała się Lacey.

- Proszę bardzo, panienko. - Gautier podał jej butelkę z likierem.

Pod kierunkiem doświadczonych mistrzów dołała niedużą miarkę likieru do wypełnienia tarty i zamieszała masę. Każde z nich spróbowało po łyżeczkę.

- Pyszne - oznajmiła Giselle. - Jeżeli twoi instruktorzy nie postawią ci najwyższej oceny, to znaczy, że są idiotami.

- I znowu ma rację - uśmiechnął się promiennie Gautier. - Wybrałaś najlepszą kombinację składników, moja droga. Gratuluję. Kiedy otrzymasz dyplom, może będziesz chciała pracować ze mną?

- Niech pan nie będzie śmieszny - oburzyła się Giselle. - Lacey zostanie tutaj i będzie pracować dla mnie. - I zaczęło się od nowa: w drodze do pokoju kredensowego Giselle i Gautier nie przedstawiali się sprzeczać i droczyć.

Lacey uśmiechnęła się i nałożyła masę na orzechowy spód. Jej wyrób będzie przepyszny - wart wysiłku, jaki weń włożyła. Może podobnie jest ze związkami - im więcej da z siebie jedna ze stron, tym słodsza będzie nagroda.

Na czas próbnej kolacji weselnej jadalnia zajazdu zmieniała się nie do poznania. Wyglądała jak sceneria z bajki. Zdobily ją maleńkie białe lampki i zieleń, z sufitu i ścian spływała delikatna biała siateczka, za którą sznury białych światełek przypominały gwiazdy we mgle. Pod ścianami ustawiono palmy w donicach, stół przykrywał udrapowany biały jedwab, na którym stała porcelanowa zastawa ze złotą obwódką.

Mark z kamerą w ręku zajął wyznaczone mu miejsce przy stole. Okazało się, że siedzi na przeciwko ojca i Margie. Ojciec i syn nie widzieli się od spotkania w sypialni, ale Mark przysiągł sobie, że zachowa się jak cywilizowany człowiek. Alan najwyraźniej przyrzekł sobie to samo. Skinął głową do Marka i powiedział:

- Cześć, synu. Pamiętasz Maggie, jak sądzę.
- Oczywiście. Witaj, Maggie. - Wymienił

uścisk dłoni z żoną ojca - za nic w świecie nie chciał myśleć o niej jak o swojej macosze - po czym usiadł. Już po chwili jadalnia rozbrzmiała gwarem.

- To cudownie, że jesteśmy tu razem i że wspólnie będziemy świętować tak wspaniałą okazję - ciepło powitała wszystkich Celeste ze swojego miejsca w głowie stołu. - Czuję miłość w powietrzu. Może wszyscy ulegliśmy jej czarowi. - Uniosła kieliszek, a reszta gości, idąc jej śladem, wypła zdrowie młodej pary. Następnie kelnerzy wnieśli pierwsze danie - kremową zupę z dyni, którą towarzystwo powitało entuzjastycznie.

Mark podniósł głowę i spostrzegł, że ojciec baczenie mu się przypatruje.

- Dobrze wyglądasz - powiedział Alan. - Te podróże muszą ci służyć.

Jeszcze dwa dni temu wuj Frank martwił się że wygląda na zmęczonego. Czy to Paryż tak go zmienił, czy coś innego ?

- Pewnie tak. Lubię swoją pracę. - To prawda. Lubił ją! Ale rzeczywistym powodem, dla którego wciąż był w rozjazdach, to fakt, że nie miał po co wracać do domu, do pustego mieszkania.

Tymczasem wuj Frank wstał, odchrząknął, a całe towarzystwo skupiło na nim uwagę.

- Jako oficjalny gospodarz tej kolacji pragnę was wszystkich powitać i powiedzieć, jaką radoś-

cią było przebywanie z wami przez kilka ostatnich dni.

Odpowiedziały mu oklaski i okrzyki:

- Brawo! Dobrze mówi!

- Chcę jeszcze podkreślić, jak bardzo jestem szczęśliwy, że nasza rodzina powiększy się o Alexis i całą jej rodzinę - kontynuował Frank. - Jest uroczą i śliczną dziewczyną i wiem, że mój Gabe będzie z nią bardzo szczęśliwy.

Gabe pochylił się i skradł pocałunek narzeczonej. Mark przyłączył się do oklasków. Gabe naprawdę jest rozanielony, ale ile czasu potrwa to uczucie, gdy już będą po ślubie?- Czy naprawdę istnieje coś takiego jak „żyli długo i szczęśliwie”?

W trakcie jedzenia głównego dania Mark obserwował współbiesiadników i ogarniało go coraz dotkliwsze przygnębienie. Gdziekolwiek spojrzeł, widział twarze radośniejsze od swojej. Nawet ojciec i Margie uśmiechali się i naprawdę wyglądali na zakochanych.

Chciał się wyrwać z ponurego nastroju, ale nie wiedział jak.

Po głównym daniu i sałacie podano sery.

- Na dzisiejszy wieczór został przygotowany specjalny smakołyk - oznajmiła Celeste, kiedy opróżniono półmisek z serami. - Na deser skosztujemy nowe danie wyczarowane przez pannę Lacey Jessup;

Jak na zawołanie otworzyły się drzwi i do

jadalni weszła Lacey, niosąc srebrną tacę, na której lśniły wiśniowe tarty.

- Wiśniowo-orzechową tartę panna Lacey wymyśliła na egzamin w szkole Le Cordon Bleu - wyjaśniła Celeste. - Jest wyśmienita i nie wątpię, że otrzyma od was najwyższą notę. To dla nas zaszczyt, że kochana Lacey zechciała nas obdarzyć swoim kulinarnym dziełem.

Kiedy uwaga wszystkich skupiła się na niej, Lacey oblała się ciemnym rumieńcem, a Marka zachwycił jej uśmiech. Była piękna aż do bólu. Rozejrzała się wokół stołu, a kiedy dotarła do niego, zatrzymała na nim wzrok i uśmiechnęła się jeszcze bardziej słodko.

Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że serce wali mu jak młot. Dotąd sądził, że takie fizyczne reakcje na widok drugiej osoby to powieściowa fikcja.

Przypomniał sobie, jak się zezłościła, kiedy ją przeproszał za pocałunek w kuchni, i uśmiechnął się na to wspomnienie.

- Co cię tak bawi?

Pytanie Alana przywołało Marka do rzeczywistości. Potrząsnął głową i skupił się na kawałku tarty, którą postawił przed nim kelner.

- Przypomniałem sobie pewne zdarzenie.

- Podziel się z nami dobrym żartem - zachęcał Alan. - Te kolacje śmiertelnie mnie nudzą.

- Wziął na widelczyk kawałek tarty. - Choć

trzeba przyznać, że jedzenie jest tu naprawdę dobre.

Jak zwykle Alan był zbyt zaabsorbowany własną osobą, żeby mógł się interesować czymkolwiek, co działo się wokół niego. Przy innej okazji Mark by mu to wytknął, ale nie chciał psuć miłego uczucia, które go ogarnęło widok prześlicznej kuchareczki.

Kiedy kolacja wreszcie się skończyła, udał się na poszukiwanie Lacey. Znalazł ją w kuchni, gdzie szorowała blat stołu.

- Tarta była wyśmienita - powiedział.

- Dziękuję. - Nie patrzyła na niego, tylko nadal szorowała stół, a przy każdym ruchu napięły się mięśnie jej gołych ramion. - Poczulałam się wyróżniona, kiedy Giselle poprosiła, żebym upiekła ją na dzisiejszy wieczór. Chociaż wcale nie jestem pewna, czy nie chodziło jej o to, żeby w ten sposób pan Gautier nie miał możliwości popisania się jednym ze swoich arcydzieł.

- Pan Gautier jest tym mistrzem cukierniczym? - zapytał, przypominając sobie mężczyźnę, który wczoraj przekomarzał się z Giselle.

- Tak, to on. Giselle jest niezadowolona, że musi dzielić z nim swoją kuchnię, poza tym uważa, że jest zbyt wyniosły i wielkopański. Ale jednocześnie on jej się bardzo podoba.

- Hm... - Tak naprawdę nie obchodzili go ani mistrz cukierniczy, ani Giselle: chciał tylko

przeciągać rozmowę. Podeszedł bliżej i oparł się o brzeg stołu. Światło górnej lampy wydobywało rudozłote pasemka ciemnych włosów Lacey. Podniósł kamerę do oka i przyglądał się jej przez obiektyw, ustawiając kadr.

- Chyba nie będziesz mnie fotografował w tym stroju! - zapiszczała w panice.

- Rób to, co robiłaś - poprosił. - Wyglądasz pięknie.

Rysy jej twarzy zmiękły, rozchyliła wargi, jakby chciała coś powiedzieć, następnie potrząsnęła głową i wróciła do szorowania stołu z nową energią. Zrobił szereg ujęć, koncentrując się na delikatnej krągłości jej ramion, bladych policzkach i szyi obramowanej ciemnymi włosami, na długich, szczupłych palcach.

- Skończyłeś? - zapytała, prostując się. - Bo stół jest już czysty.

Opuścił kamerę. Zwykle, kiedy między nim a jego obiektami nie było osłony w postaci obiektywu, czuł się niemal bezbronny, ale przy Lacey było inaczej. Przy niej wszystko było inaczej.

- A ty skończyłaś na dzisiaj ?

Powiesiła sitko nad zlewem, potem rozwiązała fartuch.

- Skończyłam.

- Może poszlibyśmy na spacer?

- A dokąd chciałbyś pójść?

- Wszystko jedno. To jest Paryż. Podobno mai

być dzisiaj wyjątkowo piękny. - Zwłaszcza oglądany z właściwą osobą, ale nie mógł tego powiedzieć. W każdym razie jeszcze nie teraz.

- Chętnie. - Powiesiła fartuch na drzwiach.

- A swoją drogą zadziwiasz mnie - powiedziała, idąc z nim w stronę swojego pokoju.

- Dlaczego? - Przytrzymał jej drzwi i wszedł za nią.

- Dlatego. - Złapała go za rękę. - Kiedy się poznaliśmy, powiedziałeś, że nie wierzysz w romantyczną miłość, a czy może być coś bardziej romantycznego niż wieczorna przechadzka po Paryżu i trzymanie się za ręce? - Może jeszcze nie jesteś zupełnie stracony.

- Może jeszcze nie. - Ucieszył się, kiedy na chwilę stanęli z dala od blasku ulicznej lampy. Wolał, żeby Lacey nie widziała wyrazu jego twarzy. Mógłby tak z nią spacerować wiecznie, trzymając ją za rękę i nie mówiąc słowa, radując się samą jej obecnością. Ale wiedział, że to by jej nie wystarczyło. Kobiety potrzebują słów, i może postara się znaleźć te właściwe i powie jej, co czuje.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Paryż o zmierzchu jawił się jak czarowne widowisko dla oczu i dla uszu - głośnie klaksony taksówek, skąpany w złocistym świetle Łuk Triumfalny, dźwięk akordeonu ulicznego grajka, światła na mostach Sekwany jak sznury pereł zawieszane nad wodą, tu i ówdzie salwy śmiechu i szybkie rozmowy. A przede wszystkim wieża Eiffla, błyszcząca jak odświętna choinka.

Rozanielona Lacey upajała się tym wszystkim, gdy wędrowali z Markiem wzdłuż Sekwany, choć on zdawał się tego nie zauważać. Szedł z opuszczoną głową, ze wzrokiem utkwionym w chodniku.

Wzięła go pod rękę.

- Czy coś cię trapić - zapytała.

Podniósł głowę i spojrzał jej w oczy, jakby w nich szukał odpowiedzi.

- Poprzedniego dnia pytałaś o mojego ojca. Przytaknęła ruchem głowy, w napięciu czekając na dalszy ciąg.
- Chyba się domyślasz, że pozostajemy w nie najlepszych stosunkach.
- Powiedziałaś, że twoi rodzice się rozwiedli.
- Odszedł od nas, kiedy miałem dziesięć lat.

Pewnego dnia, kiedy mama odebrała mnie ze szkoły i przyszedliśmy do domu, na stole leżał studolarowy banknot i kartka, na której napisał, że jest mu bardzo przykro, ale że dłużej tak już się nie da.

Lacey próbowała sobie wyobrazić, jakim szokiem i bólem musiało być to wydarzenie dla dziecka.

- To było potworne dla ciebie.
- Taak, a następnego dnia moja mama odkryła, że tych sto dolców to wszystko, co nam zostało. Ojciec wyczyścił konto bankowe i zostawił nas dosłownie z niczym. Wtedy mama, choć była po college'u, podjęła pracę w szkolnej stołówce, a wieczorami sprzątała u sąsiadów, żeby starczyło na bieżące wydatki.
- Więc zostawił cię ojciec, a mamy prawie nie było w domu, bo pracowała na okrągło...
- Tak mniej więcej to wyglądało. - Odetchnął głęboko. - Gdy miałem osiem lat, ojciec był moim bohaterem. Zawsze się śmiał i żartował. Wszyscy go lubili i chcieli być do niego podobni.

- Sądzę, że większość chłopców tak to czuje.

Obok przepływała łódź z turystami: śmiech i urywki rozmów po francusku, angielsku, niemiecku, hiszpańsku i w innych językach, których Lacey nie umiała zidentyfikować, niosły się po wodzie. Mark odprowadził wzrokiem mijającą ich łódź.

- Przez pierwszy rok po jego odejściu pragnąłem, żeby wrócił. Każdej nocy śniłem o tym. Widziałem, jak wchodzi do mieszkania, a my dowiadujemy się, że brał udział w ściśle tajnej misji mającej zbawić świat, albo że nieprzerwanie pracował w utajnionym laboratorium i wynalazł lekarstwo na raka.

Uśmiechnęła się, oczyma wyobraźni zobaczyła małego chłopca, który śni o wielkich rzeczach, i ucieszyła się, że oboje mieli równie nieokreśloną wyobraźnię.

- Miałeś wtedy od niego jakieś wiadomości? Potrząsnął głową.

- Nie odzywał się przez cztery lata. Do tego czasu zdążyłem go znienawidzić. Oskarżałem go o wszystko, co najgorsze.

Ścisnęła mocniej jego ramię.

- Dlaczego tak długo się nie pokazywało

- Powiedział, że takie jest życie, że zrozumiałem to, kiedy będę starszy. Zrozumiałem jednak tylko tyle, że nie mogę nigdy i w niczym na nim polegać. I nie zamierzam.

- Nigdy mu nie wybaczyłeś.
- Nigdy i nie wiem, czy bym potrafił.

Odwróciła głowę, żeby podziwiać oświetloną fasadę katedry Notre Dame, której koronkowa konstrukcja wyglądała o tej porze niezwykle tajemniczo. Lacey zatrzymywała wzrok na niezliczonych przyporach i skarpach, na rozetach i na fantastycznych gargulcach.

- A kiedy teraz się pojawił, ty tkwisz w tym samym punkcie - powiedziała po chwili.

- Właśnie... Tylko co mogę zrobić? Mam trzydzieści dwa lata, a czuję się tak, jakbym znowu miał dziesięć. Jak mam mu dać do zrozumienia, żeby zostawił mnie w spokoju?

Zawahała się. Rada, jakiej chciała mu udzielić, mogła mu się nie spodobać, ale jego cierpiący głos tak ją poruszył, że musiała mu pomóc.

- Może nie chodzi o to, żeby go całkowicie wyprzeć ze świadomości i z życia, bo chyba jakaś częśćka ciebie nadal go potrzebuje, a ty nie możesz znaleźć sposobu na przerzucenie mostu nad przepaścią, która wytworzyła się między wami. A jednak... - Głos uwiązał jej w gardle, gdy odwrócił wzrok.

Milczał przez chwilę, głęboko zadumany.

- Lacey, naprawdę nie rozumiesz?- Dawałem sobie świetnie radę bez niego przez te wszystkie lata. Czego mógłbym chcieć od niego teraz?

- Nie wiem. - Położyła mu rękę na ramieniu, żeby go pocieszyć, ale czuła się bezsilna. - Może powinienes o coś siebie spytać.

- O co?

- Kogo karzesz - jego czy siebie?

Ich oczy znowu się spotkały.

- Co mam zrobić ?

Położyła dłoń na jego klatce piersiowej.

- Pewna mądra kobieta powiedziała mi, że-
bym zaufała własnemu sercu. Że ono podsunie mi
najlepszą odpowiedź.

Kiedy Lacey go dotknęła, Mark zesztyniał,
panicznie bojąc się oddychać. Jej twarz zwrócona
ku światłu była piękniejsza niż cokolwiek dotąd
nie tylko widział, ale i wyobraził sobie w swym
samotnym życiu. Wiara w jej oczach - wiara
w niego - sprawiła, że poczuł się niezwykle silny,
a jednocześnie bardziej bezbronny niż kiedykol-
wiek. To ona była pragnieniem jego serca - przy-
najmniej w tej chwili.

Wyciągnął rękę i przykrył jej dłoń.

- Czy możliwe jest poczucie głębokiej więzi
z kimś, kogo zna się zaledwie kilka dniś- - zapytał.

Nie odrywali od siebie oczu.

Przyciągnął ją do siebie i pocałował. Świat
wokół nich zawirował i ograniczył się do wąskiej
przestrzeni, którą zajmowały ich przytulone cia-
ła, a jedynym dźwiękiem był ich urywany oddech

i bicie serc, jedynymi doznaniem smak słono-słodkich pocałunków i delikatny kwiatowy zapach perfum Lacey w ciepłym wieczornym powietrzu.

- Zostań ze mną na noc - wyszeptał.
- Tak. - Spojrzała mu w oczy, objęła za szyję.
- Tak, zostanę z tobą.

Przyciągnął jej głowę do swojej piersi. Będzie z nim w tę noc. Na razie nie był w stanie sięgnąć myślą dalej. Przynajmniej przez tę jedną noc nie będzie się użalał nad przeszłością ani zamartwiał o przyszłość.

Wrócili do „Milles Fleurs” i bocznymi drzwiami wślizgnęli się do środka, a potem do pokoju Marka.

Ledwie zamknęły się za nimi drzwi, padli na łóżko i w pośpiechu rozbierali się nawzajem. Mark z trudem radził sobie z guzikami bluzki Lacey, więc mu pomogła. Dopiero wtedy dotarło do niej, jak bardzo jest zdenerwowany. Jakie to wzruszające, pomyślała, że mężczyzna, który podróżuje po świecie i fotografuje najbardziej zapalne i niebezpieczne miejsca, może się denerwować na myśl o kochaniu się z nią. Splotła z nim palce i całowała go długo i powoli.

- Nie musisz się śpieszyć - wyszeptała.
- Wolałbym nie ryzykować, że znów ktoś nam przeszkodzi.

Uśmiechnęła się.

- Nawet gdyby ktoś pukał, nie otworzymy.

- Dobry pomysł. - Tym razem zaatakował jej guziki z większą pewnością siebie i już po chwili ściągnął z niej bluzkę, żeby od razu przystąpić do wyłuskiwania Lacey ze spódnicy. Podniósł się, zdjął swoje ubranie, i w ten sposób znaleźli się twarzą w twarz, w samej bieliźnie, w wąskiej smudze światła księżyca prześwitującego przez zaciągnięte zasłony.

- Chciałbym cię sfotografować taką, jaka jesteś teraz - powiedział, gładząc jej ramię. - W blasku księżyca twoja skóra ma kolor kości słoniowej.

- Po co ci fotografia, skoro masz przed sobą oryginał. - Ze śmiechem przyciągnęła jego głowę i pocałowała śmiało, namiętnie.

Ujął dłońmi jej piersi, po czym zsunął ramiączka stanika.

Jęknęła, kiedy musnął palcami jej pierś, zadrzęła z rozkoszy, kiedy pochylił się nad nią i zaczął ją pieścić ustami.

- Marzyłem o tym. - Uniósł głowę, żeby znowu na nią popatrzeć.

Uśmiechnęła się.

- To musiały być ciekawe marzenia.

- Tak, ale rzeczywistość je przerosła. - Wsunął palec pod gumkę jej majteczek i drocząc się, dwukrotnie pociągał i puszczał. Lacey objęła go. Nie mogła się doczekać, kiedy ją weźmie. Prag-

nęła, żeby zrobił to szybko, już, teraz! - Jesteś piękna - wyszeptał.

Czuła się piękna. Dzisiaj, przynajmniej tak długo, jak będzie leżała w jego ramionach, będzie się czuła najpiękniejszą kobietą na świecie.

Gdy tak leżeli nadzy, zwróceni twarzami do siebie, w ich oczach był zachwyt. Kiedy Lacey wciągnęła powietrze, lawendowa woń świeżej pościeli zmieszana ze zmysłowym, uderzającym do głowy zapachem perfum, podnieciła ją jeszcze bardziej.

- Pachniesz jak migdały. - Pocałował jej palec.

- Amaretto. Rozlałam trochę, kiedy piekłam ciasto. Zapachy długo się utrzymują.

- Zawsze będę myślał o tobie, kiedy go pocuję.

Zaczęła żartować, że zrobi majątek, gdy znacznie sprzedawać wiśniową tartę jako najlepszy na świecie afrodyzjak, ale Mark chwycił ustami jej palec i zaczął go ssać, nie poprzestając na jednym. Napięcie w dole jej brzucha narastało, aż zaczęła się kręcić.

- Nie... nie chcę czekać... już dłużej - szepnęła.

Uwolnił jej palec, oparł się na łokciu i popatrzył na nią.

- Z gumką? - zapytał.

- Tak.

Zsunął się z niej, pochylił i sięgnął pod łóżko. Słyszała, jak wysuwa torbę podróżną i rozsuwa

zamek. Po chwili znowu był przy niej i rozrywał opakowanie zębami.

- Zechcesz pełnić honory? - zapytał.

Ostrożnie naciągnęła prezerwatywę, a sama ta czynność przyprawiła ją o rozkoszne drżenie.

Mark delikatnie rozchylił jej uda i ukląkł nad nią. Wtedy wyciągnęła do niego ręce w geście przyzwolenia.

Wchodził w nią powoli, aż wypełnił ją sobą. Wygięła się do niego, dopasowując się do jego rytmu jak wytrawna tancerka do swojego partnera.

Głaskała go po włosach i mruzczała czule słowa, a on objął jej pośladek, przyciskając ją jak najbliżej siebie, podczas gdy drugą ręką pieścił jej pierś. Odczuwała jego obecność każdym nerwem i włókmem ciała: doznania fizyczne, gdy ją dotykał, a także więź emocjonalna pozwalały im poruszać się do taktu i wychodzić wzajemnie naprzeciw swoim potrzebom.

Kiedy osiągnęła orgazm, krzyknęła, a zaraz potem ze śmiechem zakryła ręką usta, tłumiąc spazmy. Łzy szczypały jej oczy: łzy odprężenia, ale i radości, której nie potrafiła opisać. Podczas orgazmu Marka ponownie razem wzniesli się wysoko. Gdy było po wszystkim, spleceni z sobą, kołysali się w milczeniu. Lacey bała się, że słowa mogą zniszczyć magię chwili. Czy gdyby wypo-

wiedziała na głos wszystko, co teraz czuje, nie spłoszyłaby Marka? Mówił, że nie wierzy w romantyczną miłość. Czy to znaczy, że w ogóle nie wierzy w miłości Czy może nie wie tylko, jak wyrazić słowami to najbardziej tajemnicze ze wszystkich uczuci

Kiedy przytuliła jego głowę do swojej piersi, zamknęła oczy i bezgłośnie modliła się, żeby Mark przejrzał jakoś i zobaczył, że miłość, i to romantyczna miłość, istnieje naprawdę. W końcu gdzie ma się o tym przekonać, jak nie w Paryżu, mieście' zakochanych, mieście wysławiającym miłość ?

Dzwony pobliskiego kościoła uderzyły trzy razy, kiedy Lacey niechętnie wyplątała się z uścisku Marka.

- Pójdę już lepiej - powiedziała szeptem.
- Czekaj nas trudny dzień. - Twardy zarost jego brody drapał jej policzki, kiedy pochyliła się na jeszcze jeden pocałunek.

- Fotografowanie wesel nie jest moją specjalnością. - Mark usiadł na brzegu łóżka i wciągnął dzinsy. - Przyzwyczailem się do zdjęć migawkowych, do obrazów, które opowiadają jakąś historię.

- Twoje ślubne fotografie też opowiedzą pewną historię. - Stała obok niego w wąskiej

przestrzeni między ścianą i drzwiami, zapinając bluzkę. - Będzie to historia dwojga zakochanych ludzi i wszystkich tych, którzy przybyli tu z różnych stron świata, by radować się razem z nimi. A każdy z gości przyniósł z sobą swe doświadczenia i nadzieję na przyszłość.

- Być może, ale to nadal nie będzie to samo.

- Pójdę już lepiej. - Podniosła swoje pantofle, ale ich nie włożyła. Łatwiej będzie boso przemknąć korytarzem do pokoju. Wspięła się na palce i pocałowała Marka w policzek. - Do widzenia - szepnęła i wyszła.

Na korytarzu z wolna rozluźniła się. Nie musiała dłużej ukrywać, co naprawdę czuje. Ich wspólna noc była cudowna, ale jego ostatnie słowa przypomniały jej, że żyją w dwóch różnych światach. Świat Marka jest ekscytujący, pełen przygód i zagrożeń, podczas gdy dla niej liczą się piękno, sztuka kulinarna i rodzina. Nawet jeśli postanowiła przenieść się i zamieszkać wiele tysięcy kilometrów od domu, rodzina nadal pozostawała dla niej ważna. I nigdy to się nie zmieni, była tego pewna.

Zbyt wiele myśli kotłowało się w jej głowie, żeby mogła teraz zasnąć, więc zamiast do swojego pokoju udała się do kuchni, żeby sobie zrobić filiżankę czekolady. Po omacku zeszła po starych stromych drewnianych schodach, badając nogą każdy stopień, a ręką trzymając się kurczowo poręczy.

Tak bardzo była na tym skupiona, że nie dostrzegła zbliżającej się w ciemności postaci, dopóki nie zderzyła się z nią na dole schodów. Zdusiła krzyk. W odpowiedzi kobiecy głos powitał ją wiązką francuskich przekleństw.

RS

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

- To ty, Giselle? - zapytała przerażona Lacey na widok szefowej snującej się o tej porze po korytarzu.

- Lacey? - Giselle wyciągnęła rękę i zapaliła lampę, która stała na stole. Zamiast roboczego ubrania miała na sobie modną minisukienkę i legginsy. Włosy upięła w koczek, a wydatny makijaż podkreślał oczy. Pomalowane czerwoną szminką usta tu i ówdzie były rozmazane. W ręku trzymała parę szykownych szpilek.

- Ja... ja... właśnie szłam do kuchni zrobić sobie filizankę czekolady - wybąkała Lacey.

- Z pantoflami w rękę ?

- Mogłabym cię o to samo zapytać - zdobyła się na odwagę Lacey.

Giselle zaczerwieniła się.

- Nie chciałam nikogo budzić o tak późnej porze.

- Podobnie jak ja.
- Ale ty schodziłaś ze schodów... - Wzrok Giselle powędrował do góry, a już po chwili uśmiechnęła się porozumiewawczo. - Rozumiem. Dostarczałaś zamówienie do pokoju któregoś z naszych gości.

- A ty? Najwyraźniej z kimś wychodziłaś.
- Zatrzymała wzrok na rozsmarowanej szmince i zaryzykowała: - Czy to był pan Gautier?

- Ten człowiek jest niemożliwy - udała oburzenie Giselle. - Ma czelność pouczać mnie, jak mam gotować, a do tego uważa się za niezwykle czarującego.

- Bo jest czarujący, a nawet powiem, że już cię oczarował.

Giselle skwitowała to o wiele cieplejszym uśmiechem.

- To prawda, że potrafi czarować. Chodźmy do kuchni i zróbmy sobie czekoladę. Wiem też, gdzie znaleźć dekadentkie maślane ciasteczka, które trzymam na specjalną okazję.

Gdy znalazły się na bezpiecznym gruncie, jakim była kuchnia, Giselle zawiązała fartuch i nastawiła mleko, podczas gdy Lacey utarła czekoladę. Potem Giselle wsypała wiórki do gorącego mleka i ubijała je, aż się speniło, po czym nalała płyn do dwóch grubych kubków, posypując wierzch surowymi strużynami czekolady. Po wyłożeniu na tackę ciasteczek zasiadły przy roboczym stole.

- Ach - powiedziała Giselle po wypiciu pierwszego łyeczka - nawet wielki Hugh Gautier nie zrobi lepszej czekolady.

- Założę się, że pan Gautier przepada za tobą między innymi dlatego, że tak trudno ci zaimponować - powiedziała Lacey. - Bo nie da się ukryć, że go oczarowałaś.

- Kiedy jestem z nim - przyznała Giselle - też ulegam jego urokowi, ale kiedy jesteśmy osobno... -Wzruszyła ramionami. - Zastanawiam się, co ja w nim widzę. W nim czy w jakimkolwiek mężczyźnie. Wszyscy są tacy nadęci.

Lacey pomyślała o Marku. Nie opisałaby go w ten sposób.

- A ty wychodziłaś gdzieś z tym aroganckim Amerykaninem, panem Kendrickiem? - zapytała Giselle.

- Mark nie jest arogancki. Jest bardzo miły.

- Wszyscy oni są tacy, kiedy chcą nas zaciągnąć do łóżka. - Giselle wypła łyeczek. - No, ale w końcu nie każde męskie łóżko musi być takie złe. Na ogół kłopoty zaczynają się poza nim.

- Myślę, że go kocham.

Lacey nie zamierzała powiedzieć tego na głos, zwłaszcza przy szefowej, ale stało się.

Ku jej zdumieniu Giselle nie wyśmiała jej ani nie odpowiedziała kpina;

- Jeśli tak, to bardzo się cieszę, bo cóż może być wspanialszego od miłości, a ty ze wszech miar

na nią zasłużyłaś - powiedziała łagodnie. - Mam tylko nadzieję, że kochasz się z wzajemnością.

- Nie wiem. Też mam taką nadzieję, ale... skąd można wiedzieć, czy miłość to wszystko?

Giselle potrząsnęła głową.

- Mnie o to nie pytaj. Nie miałam szczęścia w miłości. Ale czy Beatlesi nie śpiewali „love is all you need”?

- Miłość to wszystko, czego potrzebujesz...

Pięknie to brzmi, ale powiedz, Giselle, czy tak jest naprawdę? - Lacey odstawiła na bok kubek.

- Jesteśmy z Markiem tacy różni. On podróżuje po świecie, spędza tyle czasu w niebezpiecznych i fascynujących miejscach.

- Nawet globtroterzy i kosmopolici lubią mieć kogoś, do kogo mogą wracać. Poza tym ty też nie jesteś aż taką domatorką. Przejechałaś pół świata, żeby się uczyć w Le Cordon Bleu. Możesz z nim podróżować. A może on pozostanie w domu z tobą. Możecie też urządzać namiętne spotkania w dowolnych punktach świata między jego kolejnymi misjami.

- Byłby to osobliwy sposób na życie. Wydaje mi się, że istotą miłości jest pragnienie bycia razem.

Giselle machnęła ręką.

- Można żyć razem na wiele różnych sposobów. Kto powiedział, że wielka miłość polega na codziennym widywaniu ukochanego? - Szefowa

uśmiechnęła się. - Może tak byłoby nawet lepiej. Namiętność nie lubi nudy.

Lacey nie była przekonana, czy Giselle ma rację.

- Popełniałam wcześniej błędy, pakowałam się w złe związki. Jakoś z nich wychodziłam, ale raz było całkiem krucho, bo zakochałam się bez pamięci w nieodpowiednim mężczyźnie. Moja matka uważa, że wybieram mężczyzn zbyt mocno różniących się ode mnie i jeśli chcę być szczęśliwa, powinnam znaleźć kogoś mojego pokroju.

- Kogoś z Iowa, kto również gotuje? - Giselle uniosła brew. - Sądzę, że twoja matka próbuje na swój matczyzny sposób zatrzymać cię przy sobie. - Szeffowa zachichotała. - Pewnie się boi, że jakiś czarujący Francuz powali cię z nóg.

- Jak Hugh Gautier?

- Jak Hugh Gautier. - Giselle wstała i zebrała kubki. - Powiem ci coś, co zawsze sobie powtarzam: mężczyźni nie są warci, żeby spędzać nam sen z powiek. Za bardzo staramy się im dogodzić. Czas wypracować jakiś kompromis.

- Czy zatem powinnam poprosić Marka, żeby zmienił tryb życia i - Potrząsnęła głową. - Nie, nigdy bym tego nie zrobiła.

- Nie musisz, ale też nie zakładaj, że to ty musisz zmienić swoje życie. Jeżeli ten Amerykanin naprawdę odwzajemnia twoje uczucia, wspólnie znajdziecie najlepsze wyjście. A jeśli nie...

- Giselle wzruszyła ramionami - ...to znaczy, że nie jest wart twojego uczucia.

Później, leżąc w łóżku, Lacey długo jeszcze rozmyślała nad tym, co powiedziała Giselle. Mark zdecydowanie „był wart”. Przy nim poczuła to wszystko, czego nie dał jej żaden mężczyzna

- namiętność i czułość, a także wiarę we własne możliwości.

Miała nadzieję, że Mark szczerze ją kocha, ale czy to wystarczy, zwłaszcza gdy nie wierzy w romantyczne uczucia, odcina się od miłości i od rodziny, uważając, że samotność jest lepsza niż ryzyko zawodu miłosnego i zranienia? Mogłaby przysiąc Markowi, że nigdy go nie zrani, ale to byłoby kłamstwem. Nawet ona, przy całej swojej fantazji i skłonności do idealizowania życia, wiedziała, że miłość potrafi być bolesna.

Poranek w dniu ślubu powitał wszystkich piękną pogodą i specyficznym czystym i ostrym światłem, które od wieków inspirowało sławnych paryskich artystów. Samo wesele też będzie dziełem sztuki, począwszy od weselnego tortu, który wyczarowali prawdziwi mistrzowie, czyli panna Giselle i pan Gautier, po kwiaty, które wypełniały cały zajazd, jak przystało na nazwę „Milles Fleurs”. Panna młoda i jej drużyna, całe w jedwabiach i koronkach, wyglądały zjawiskowo.

Mark uwijał się i fotografował wszystkie etapy przygotowań do ceremonii. Ku własnemu zdumieniu robił to z przyjemnością, żartując przy okazji z paniami i ustawiając je w najkorzystniejszym świetle. Nie czuł tej presji, która zwykle towarzyszyła mu w pracy. Przyływ adrenaliny, nieodłączny w jego zawodzie, zastąpiło poczucie spełnienia i autentycznego luzu.

Wędrując od pokoju do pokoju, serdecznie witany przez wszystkich, uświadamiał sobie, że jest w rodzinie - wśród ludzi, którzy go lubią, a nawet kochają i akceptują nie za jego dokonania, ale po prostu dlatego, że jest. Dlaczego przez tyle lat omijał to wszystko szerokim łukiem?

Po raz pierwszy od przybycia do zajazdu nie postrzegał robienia zdjęć ślubnych za męczący obowiązek. Był to jego osobisty prezent dla szczęśliwej pary. Takie nastawienie dopingowało go do robienia jak najlepszych ujęć i takich, które z upływem czasu będą miały szczególną wartość dla następnych pokoleń.

Właśnie fotografował Gabe'a i jego drużbę, a potem obejmujących się Gabe'a i wuja Franka. Patrząc na nich przez wizjer, z trudem przełknął ślinę.

Zawsze sobie wmawiał, że nie doświadczy nigdy takiej bliskości z własnym ojcem, ale ostatnia rozmowa z Lacey dała mu wiele do myślenia

i kazała się zastanowić nad tym, czy naprawdę stać go na całkowite wymazanie przeszłości.

Nie widział Lacey od czasu, kiedy wczesnym rankiem wymknęła się z jego pokoju. Teraz była zajęta, ale kiedy skończy, będą musieli porozmawiać. Mają sobie tyle do powiedzenia, a także do przedyskutowania.

O wyznaczonej godzinie całe towarzystwo zebrało się w ogrodzie na ceremonię. Na drewnianej platformie wznosił się ogromny biały namiot, który służył za prowizoryczną kaplicę. Mark stanął z tyłu, robiąc, co w jego mocy, żeby jak najmniej przeszkadzać młodym podczas fotografowania ich w momencie składania przysięgi i wymiany obrączek. Uchwycił moment, kiedy Gabe i Alexis po raz pierwszy spojrzeli na siebie jak mąż i żona, a radość bijąca z ich twarzy wzruszyła go tak bardzo, że musiał ukradkiem wytrzeć oczy.

W zajeździe, podczas przyjęcia weselnego, miał cichą nadzieję, że posadzą go znowu naprzeciw Alana i Margie, ale ojciec z żoną siedzieli na drugim końcu stołu. Na próżno wypatrywał Lacey, niestety była zajęta w kuchni.

Po kolacji rozpoczęły się tańce. Po pierwszym walcu, który zatańczyli państwo młodzi, inni też ruszyli w tany. Mark stał na uboczu, czując się nie na miejscu pośród szczęśliwych par.

Dostrzegł ojca tańczącego z Margie. Ojciec,

wyraźnie zrelaksowany, również wyglądał na szczęśliwego. Takim chciałby go widzieć i może nawet lepiej poznać. Kiedy para znalazła się blisko niego, poprawił marynarkę i krawat, odetchnął głęboko, wyminął tancerzy i podszedł do nich.

- Czy mogę odbić? - zapytał.

Alan spojrział ze zdziwieniem, ale cofnął się i pozwolił synowi zająć swoje miejsce jako partner Margie, która uśmiechnęła się do Marka.

- Jak mi miło - powiedziała.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Szybko przekonał się, że Margie jest lepszą tancerką od niego. - Gdzie się nauczyłaś tak dobrze tańczyć? - zapytał.

- Braлиśmy lekcje z twoim ojcem. Na początku nie chciał, ale teraz mamy dzięki temu frajdę.

Odnótował to jako kolejną ciekawostkę o ojcu. Jak wielu rzeczy o nim nie wiem, pomyślał.

- Wyglądasz jak on na fotografiach z młodości - powiedziała Margie.

- Naprawdę? - Nie przypominał sobie żadnego zdjęcia ojca z okresu, kiedy był młody. Po rozwodzie matka albo gdzieś schowała, albo zniszczyła wszystkie.

- Ależ tak. Jesteście tacy przystojni. - Po chwili twarz Margie spoważniała. - Nawet nie wiesz, jaki on jest z ciebie dumny. Kupuje wszystkie magazyny i dzienniki, w których pojawiają się twoje reportaże, i skrzętnie je przechowuje.

Z każdym tanecznym krokiem obraz ojca ulegał zmianie, od bezdusznego potwora, jakim widział go Mark w młodości, po kogoś słabszego i... bezbronego ?

Kiedy skończyła się melodia, Alan wrócił, by upomnieć się o swoją żonę.

- Dobrze wyglądacie na tym parkiecie - powiedział.

Mark podziękował Margie za taniec, po czym odwrócił się do ojca.

- Długo zamierzacie zostać w Paryżu?

- Jeszcze parę dni. Chcemy zwiedzić Luwr, zobaczyć Monę Lisę, w ogóle to wszystko, co powinno się obejrzeć w Paryżu. A ty?

- Jeszcze nie wiem. W tej chwili nie mam żadnego zlecenia, więc pomyślałem, że jeszcze trochę pokręcę się po mieście. - Nagle zaczął przyglądać się czubkom swoich butów, potem, wyraźnie podenerwowany, podniósł głowę i spojrział ojcu w oczy. - Chciałbym, żebyśmy razem zjedli kolację, kiedy już tu obaj jesteśmy.

- Z wielką chęcią. Wspaniale. - Alan uśmiechnął się, a na jego twarzy malowały się taka ulga i radość, że Mark zażenowany chciał uciec wzrokiem... ale nie mógł. Tymczasem wpatrywał się w tego obcego człowieka, który w tak dużej mierze był częścią jego samego.

- Mamy sobie dużo do powiedzenia - powiedział Mark.

Alan pokiwał głową.

- To prawda. Porozmawiamy o wszystkim, o czym zechcesz.

Zaczęła się następna melodia i znowu się rozłączyli, tyle że teraz Mark wiedział, że nigdy nie będą sobie obcy jak dotąd.

Opuścił parkiet i wszedł do zajazdu, gdzie zebrano się sporo gości, by poplotkować w luźnej atmosferze albo by dać odpocząć wytańczonym nogom.

Z uśmiechem minął ich wszystkich i jakby wiodła go jakaś tajemna siła, skierował się do kuchni.

Zastał Lacey w spiżarni. Stała na palcach i układała na półkach srebrne tace, na których podano kolację.

- Pozwól, że ci pomogę. - Podeszedł do niej i wyjął jej z ręki naczynie.

Odwróciła się do niego i objęła go w tak naturalny sposób, jakby się znali przez całe życie. Kiedy taca znalazła się na miejscu, pocałował Lacey. Wciąż pachniała migdałami, wanilią i cynamonem. A może tak mu się tylko wydawało. W końcu znajdowali się w spiżarni obok półki z przyprawami. Uśmiechnął się na tę myśl.

- Co w tym śmiesznego? - zapytała, kiedy skończyli się całować.

- A czy ja się śmiałem?

- Nie, ale uśmiechałeś się. Nieczęsto się uśmiechasz.

Pokiwał głową. To prawda, że przez ostatnie lata był bardzo poważny. Nie miał powodu do radości. Ale to się zmieniło.

- Uśmiecham się, bo jestem szczęśliwy.

Nowym uśmiechem Lacey zasłużyła na kolejny pocałunek. Jednak po chwili zaczęła się niespokojnie kręcić.

- Giselle zaraz zacznie mnie szukać.

- Czy stanie się coś złego, gdy szefowa nakryje cię na całowaniu się w spiżarni? Chyba cię nie zwolni ?

- Nie. Nie zrobi tego. - Zniżyła głos i powiedziała, chichocząc co chwila: - Kiedy weszłam tu rano po przyprawę do kurczaków, przyłapałam ją z panem Gautierem. Nie uwierzysz, ale całowali się dokładnie w tym samym miejscu!

- Nigdy nie przypuszczałem, że spiżarnie mogą być romantyczne, a okazuje się, że są.

Wzięła go za rękę i wyprowadziła z pokoju kredensowego do kuchni.

- Prawda, że to było wspaniałe wesele? - zapytała.

- Nie powiem, że bym bywał na wielu weselach i miał jakąś skalę porównawczą, ale Gabe i Alexis wyglądali na szczęśliwych, i chyba to się właśnie liczy.

- Wymknęłam się na parę chwil do ogrodu, żeby popatrzeć na ceremonię - powiedziała Lacey. - Alexis wyglądała zachwycająco w ślubnej sukni, a Gabe jest taki zakochany.

- Myślisz, że miłość jest zaraźliwa?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że kiedy przyjechałem do Paryża, potwornie się bałem tej całej cikliwości i sentymentalizmu, które kojarzą mi się z weselem. Myślałem też, że przebywając wśród takiego tłumu krewnych, których prawie nie znam, zanudzę się na śmierć. Uważałem, że obfotografowywanie wesela to zajęcie nie dla mnie, poniżej moich kwalifikacji. Ale po tych paru dniach widzę, że nie miałem racji.

- Naprawdę? - Skrzyżowała ramiona na piersiach i z delikatnym uśmiechem przyglądała się Markowi.

- Tak. Okazało się, że mam dużą rodzinę, która przyjęła mnie z otwartymi ramionami, że mnie akceptują, nawet jeśli bywam niegrzeczny czy arogancki. Uważam też, że fotografowanie wesela jest zaszczytem, a nie pańszczyzną. A dodatkowo, obserwując Gabe'a i Alexis, i wszystkich zakochanych w sobie i zgromadzonych tutaj ludzi, dochodzę do wniosku, że nie miałem też racji co do romantycznych uczuć.

Wyciągnął ręce, a Lacey oparła głowę na jego piersi i przytuliła się do niego.

- Wobec tego stwierdzam, że miłość jest zaraźliwa - powiedziała. - Bo zakochałam się w tobie od pierwszego wejrzenia, kiedy wszedłeś do kuchni i zażądałeś jedzenia.

- Kocham cię, Lacey - wyszeptał, całując czubek jej głowy. - I cieszę się, że nie odesłałaś mnie tamtego wieczoru z kwitkiem. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że moje serce jest bardziej wygłodzone niż mój żołądek.

- Cieszę się więc, że nakarmiłam jednocześnie jedno i drugie. - Pocałowała go znowu, po czym spojrzała na niego z poważną miną. - Co teraz zrobisz?

- Co masz na myśli?

- Zostało mi jeszcze pół roku nauki w Cordon Bleu. A twoja praca wymaga stałego podróżowania.

- Mam jeszcze parę wolnych tygodni. Mogę zostać w Paryżu. Przekonamy się, dokąd zaprowadzi nas nasze uczucie. Poza tym nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym wracać do Paryża między kolejnymi zleceniami. Mam nadzieję, że od czasu do czasu możesz sobie wziąć urlop.

- Czy jesteś pewny, że przy twoim pełnym przygodzie życiu nie będziesz miał dość ciągłego wracania do wielkiego miasta?

- Nie interesuje mnie miasto, tylko kobieta, do której będę wracać. Wejdę na nieznanym mi teren. Choć jak dobrze wiesz, przygodzie mi nie brakuje,

z całą pewnością właśnie nasza miłość będzie największą i najwspanialszą przygodą mojego życia.

- To oczywiste! Bo przecież miłość jest przygodą. - Taką, która trwa przez wiele dziesiątków lat, aż dobry Bóg uzna, że już dość i wezwie nas do siebie, dodała w myśli.

W końcu są w Paryżu, jest wiosna, więc wszystko staje się możliwe.

RS